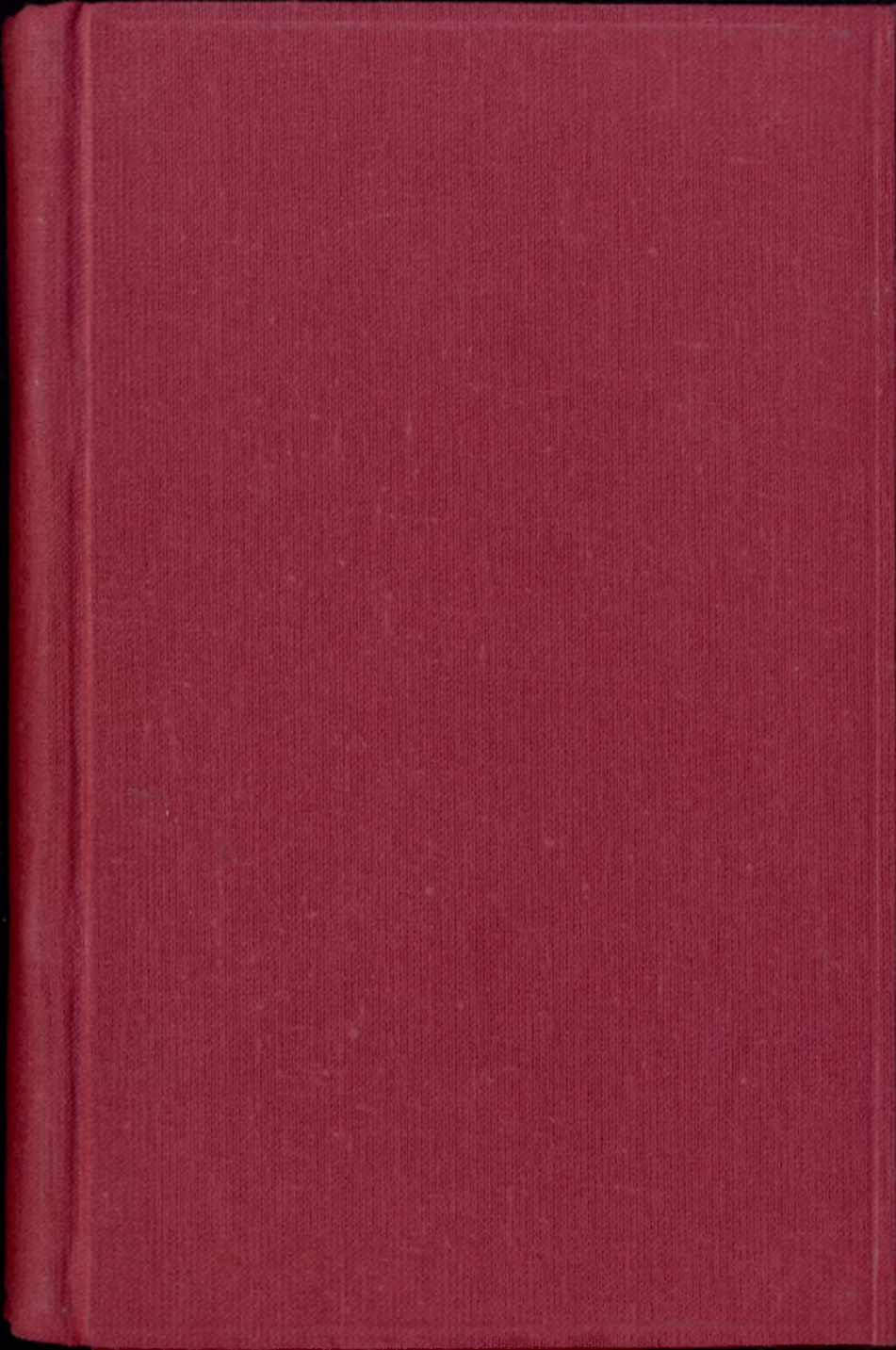




DK

TAMTEN

~~John~~ Philipson

Z Drukarni Literackiej w Krakowie pod zarządem L. K. Górskiego.

Tamten

DRAMAT WSPÓŁCZESNY W 5 AKTACH

Napisał

JÓZEF MASKOFF.

*pseud.
(Zapolska Gabriela)*



KRAKÓW.

Nakładem Stanisława Gajewskiego.

1902.



174933

OSOBY:

Generał Horn, generał żandarmów.
Pułkownik Kornitoff, urzędnik do szczególnych poruczeń.
Porucznik Botkin.
Kornet Nikiforoff.
Kapitan Juryj Andrewicz Agatonoff.
Porucznik Strelkoff.
Prezes teatrów warszawskich.
Kazimierz.
Bogdański.
Józef.
Maryan.
Pani Wielhorska.
Marta Wielhorska.
Anna.
Julia Korbiel.
Zosia.
Marya.
1. Kobieta czarno ubrana.
2. " " "
3. " " "
4. " " "
Stary żandarm Kultiapkin.
Aktor.
Matałkowska, utrzymująca restaurację.
Kasyerka.

Józia.

1-sza dziewczyna usługująca.

Klocia.

Kelner Wierciołek.

1-szy gość restauracyjny.

2-gi " "

3-ci " "

Frajman-Taper.

Służąca.

Siemipudoff.

1-szy żandarm.

2-gi żandarm.

Dyżurny żandarm.

Dozorcy więzienni.

Listonosz.

1-szy chłopczyk.

2-gi " "

Dziewczynka.

Rzecz dzieje się w Warszawie za naszych czasów.

AKT I.

W knajpie.

AKT II.

Aresztowania.

AKT III.

U generała Horna.

AKT IV.

Śledztwo.

AKT V.

Na Sybir.

AKT PIERWSZY.

Scena przedstawia wnętrze podrzędnej warszawskiej restauracyi. Wązki i długi pokój. Drzwi szklane na ulicę zasłonięte czerwonymi firankami. W przyległym pokoju, gdy się drzwi otworzą, widać stół, przy którym uczą się dzieci; lampa zapalona i stół założony książkami. Na lewo bufet, za nim utrzymująca restauracyę, bardzo gruba kobieta, obok niej kasyerka za wysokim pulpitem, czarno ufryzowana z krótkimi włosami. Lampy pozapalane. W głębi na estradzie stary fortepian.

SCENA PIERWSZA.

(Utrzymująca restauracyę czesze się za bufetem. Kelner nakrywa stoły, na ławkach śpią usługujące dziewczyny. Jedna na rogu stołu na lampie grzeje sobie żelazko do fryzowania grzywki. Józia śpi w kącie okryta chustką. Kasyerka robi rachunki. Za podniesieniem zastony długa chwila milczenia, wreszcie kelner sprząając potrąca dziewczynę).

DZIEWCZYNA 1. No!... nie potrać!

KELNER. To wynosić mi się ze stołu!

DZIEWCZYNA 1. To gdzie się uczeszę?

KELNER. Na dziedzińcu... w piwnicy.

DZIEWCZYNA 1. I... zaraz! Pani Matałkowska!

Wierciołek się szturga.

MATAŁKOWSKA. Nie szturgaj się Wierciołek!

KELNER. Bestya się roztasowała na gościnnych stołach. Obrus chcę położyć.

DZIEWCZYNA 1. A gdzie się zapikę?

MATAŁKOWSKA. Mogłaś wcześniej się zbudzić.

DZIEWCZYNA 1. I — zaraz — ledwo nogami od wczora powłóczę — tak długo musiałam usługiwać, a pani już gania. A inne to śpią.

MATAŁKOWSKA. Nie pyskuj — z ciebie mam najmniej zarobku.

DZIEWCZYNA 1. A bo mam gości parszywych, samych takich, co nie piją... to co zrobić?

MATAŁKOWSKA. Kłamiesz — tylko ty nie umiesz ich zachęcać i bez to stagnacya.

DZIEWCZYNA 1. (*z lamentem*). O Jezu! to beżemnie stagnacya? A toć piję tak, że mnie już się serce przewraca i mgłęje i koniaki i te inne słodkie szkaradztwa.

MATAŁKOWSKA. Dlaczego na porter ludzi nie pchasz?

DZIEWCZYNA 1. (*z bekiem*). Ja nie mogę pić porteru.

MATAŁKOWSKA. A ja ci radzę: pij porter!... Ja bez ciebie stratna nie będę! ja mam dzieci do edukacyi... ja muszę o nich myśleć. Bóg by mnie ciężko pokarał, jakbym przez ciebie moje

dzieci na stratę narażała... (do kasyerki) Panno Magdziu — a gdzie jarząbek?

KASYERKA. Kazałam go wynieść do piwnicy. Strasznie go czuć.

MATAŁKOWSKA. A to co znowu? Panna ma strasznie nos wydelikacony... fiu! fiu! czuć! Nieprawda! jarząbek stoi dopiero ósmy dzień. Przynieść go nazad i postawić na bufet. To bardzo dobrze ubiera taki surowy jarząbek... Tak jest na banhofach... a potem dziś może będą oficerowie pijani, to się im go podsunie i zjedzą...

KASYERKA (*nieśmiało*). Zachorują!

MATAŁKOWSKA. To się im powie, że z pijaństwa pochorowali i kwita.

SCENA DRUGA.

(*Ciż sami. Pułkownik Korniłow po cywilnemu. Niemłody człowiek, bardzo przystojny, bardzo uprzejmy, wykwiintny, elegancki w obejściu, mówi z wyszukaną grzecznością, szczególnie z kobietami, ktoby to nie były — cywilne ubranie, bardzo skromne, pince-nez*).

PULK. KORNIŁOF (*podchodzi do bufetu*). Dobry wieczór pani Matałkowskiej.

MATAŁKOWSKA (*chwilę przerażona — potem odzyskując rezon*). Moje uszanowanie... głębokie moje uszanowanie... pan pozwoli... ja zaraz... (*Wychodzi spiesźnie z za bufetu*).

PUŁK. KORNIŁOF. Cicho... cicho... bez hałasu...
cóż to jeszcze tak pusto?

MATAŁKOWSKA (*podchodzi w dygach*). Pan pułk...

PUŁK. KORNIŁOF (*ostro, lecz zarazem słodko*)
Kto? (*słodziej*) Kto — pani Matałkowska?

MATAŁKOWSKA. Pan... może raczy tymczasem,
nim się zejda, kieliszek czerwonego... albo co
innego...

PUŁK. KORNIŁOF. O której zwykle przychodzi?

MATAŁKOWSKA. Koło dziewiątej. *Wtórko Kar*

DZIEWCZYNA 1. (*do kasyerki*). Widzi panna
Magdzia... jak się to stara do tego w binoklach
wdzięczy.

KASYERKA. To podobno jej dawny znajomy.

DZIEWCZYNA 1. Ładny znajomy. Nawet wczoraj
porządnie na piwo nie dał...

KORNIŁOF (*do Matałkowskiej*). Powrócę za 20
minut.

MATAŁKOWSKA. Może doróżkę...

KORNIŁOF. Nie — przejdę się po alejach.
A! przyjdzie tu mój towarzysz — nie dawać
mu miejsca, trzymać przy bufecie i aż tamci
się ulokują, dać sąsiedni stolik... Zrozumiała
pani Matałkowska?

MATAŁKOWSKA. Wybornie panie pułk...

KORNIŁOF. Jak? (*łagodniej*) jak pani Matał-
kowska?

MATAŁKOWSKA. Już nijak proszę pana...

KORNIŁOF. Dobrze, dobrze... (*wychodzi*).

MATAŁKOWSKA (*sama na przodzie sceny*). Masz babo redutę... a to śliczna historia!

SCENA TRZECIA.

(*Dziewczyny się budzą — Józia wstaje, składa chustkę — wyjmuje grzebień — róż, idzie za bufet, opiera lusterko o szafę — czesze grzywkę, potem się różuje*).

KASYERKA. Czego Józia się popycha?

JÓZIA. Gdzie się zrobię? na bufecie?

MATAŁKOWSKA. Niech się panna Magdzia Józi nie czepia.

JÓZIA. To skaranie Boże z temi staremi pannami.

Wiecznie ludziom dokuczają... złe jak osy.

KASYERKA. Może ja młodsza od ciebie...

JÓZIA. Tyka mnie? Patrzenie ją!

MATAŁKOWSKA. Cicho — Józia idź do dzieci i tam się popraw.

JÓZIA. A gdzie mój puder? już mi któraś wziena z szuflady puder. Klocia — to ty? co?

KLOCIA. Odczep się... głupia... widzicie ją... kto jej brałby puder... (*Józia wychodzi mrucząc*).

KASYERKA. Pani jej na wszystko pozwala.

MATAŁKOWSKA. Bo to moja prawa ręka. Pije jak smok — i ludzie idą do niej jak na lep!...

SCENA CZWARTA.

Ciż — *Frajman*.

FRAJMAN (*wchodzi siwy, chudy taper — stawia w kącie parasol*). Dobry wieczór!

MATAŁKOWSKA. Cóż dziś tak późno?

FRAJMAN *(pokornie)*. Dziewiąta!

MATAŁKOWSKA. Prosiłam żeby przychodzić przed dziewiątą. Siadaj pan i graj!

FRAJMAN. Jeszcze nikogo nie ma.

MATAŁKOWSKA. To pana nic nie obchodzi — graj głośno, żeby cię na ulicy słyszeli.

(Frajman siada do rozstrojonego fortepianu i gra oklepanego walca: Ja beim super. Kelner z serwetą opiera się o ścianę, dziewczyny stoją pod ścianami — Matałkowska, kasyerka za bufetem — nie ma nikogo z gości — wchodzi Józia).

MATAŁKOWSKA. *(woła ją)*. Józia!

JÓZIA. A czego? *(Podchodzi do bufetu)*.

MATAŁKOWSKA. Masz marki. Niech piją dużo ale wiesz, jeżeli dziś przyjdą ruscy — niech cię Bóg broni wyrwać jaką awanturę.

JÓZIA. A cóż ja zrobię, jak się zaczną za łby wodzić?

MATAŁKOWSKA. Ty jesteś bardzo chytra i potrafiśz tak, aby to był wilk syty i owca cała. No — pamiętaj — dostaniesz ładną kolendę odemnie...

JÓZIA. E! wiecznie pani obiecuje.

MATAŁKOWSKA. Ale raz jak się zbiorę i dam, to zgłupiejesz... no idą... a... *(drzwi się otwierają wchodzi porucznik Botkin — po cywilnemu — podchodzi do bufetu)*.

SCENA PIĄTA.

Ciżsami — Botkin.

DZIEWCZĘTA. Co pan rozkaże?

BOTKIN. Ja... coś najprzód przy bufecie zakąszę...
jakie są zakuski?

MATAŁKOWSKA. A... pan nie zaraz do stołu
siada?

BOTKIN. Uprzedzono panią?

MATAŁKOWSKA. Tak! tak!... może angielskiej
gorzkiej — najlepsza... (*Pije*).

BOTKIN. Da... tak... i zakąska.

MATAŁKOWSKA. Klocia... usług... Panu... (*daje
jej znak i podając flaszkę mówi*): Zabawiaj go
przy bufecie — sama nie pij — to się na nic
nie zda...

(*Klocia zbliża się do Botkina rozmawia z nim —
nalewa wódki*).

BOTKIN. Panna taka blondynka? Daję słowo...
jak złoto... czyste złoto — ładna panna...

KLOCIA. E... gdzie ja ładna...

BOTKIN. Daję słowo... i figura niczego...

(*wchodzą rozmaici goście — sami mężczyźni — siadają
do stołów — zaczyna się ruch. Frajman przestał
chwilę grać, Kelner chodzi dokoła stołów, usługuje —
Józia i inne dziewczyny chichocząc witają się z gość-
mi — szczerk talerzy — co chwila słychać głos Kelnera*).

1 GOŚĆ. Dajcie nam tymczasem dwa draejery!

2 GOŚĆ. Dla mnie pilznera i rozbratel, tylko na maśle!

MATAŁKOWSKA. Czemu Frajman nie gra? Wierciołek powiedz Taperowi, niech gra. — *(Kelner biegnie do Frajmana i mówi do niego po cichu).*

1 GOŚĆ. Hej panno! Cóż to? będę czekał dwie godziny?

KELNER. Zaraz! zaraz!

1 GOŚĆ. Żydowskie zaraz!

(pod oknem dwa stoliki próżne. Matałkowska idzie i wywołuje Kelnera na róg stołu).

MATAŁKOWSKA. Te dwa stoliki założyć — jeden dla gości Józi, a drugi dla tego pana, co przy bufecie stoi.

1 DZIEWCZYNA. Proszę pani trzy koniaki. *(Matałkowska nalewa cztery).*

1 DZIEWCZYNA. Niech pani leje pełne bo goście się gniewają.

MATAŁKOWSKA. Głupiaś — powiedz, żeś po drodze rozlała...

1 DZIEWCZYNA. Czego pani leje cztery?

MATAŁKOWSKA. Jeden dla ciebie.

(Frajman gra Schumana „Warum“).

MATAŁKOWSKA. Czy on oszalał — co on gra? chce mi gości wystraszyć?

BOTKIN. On bardzo smutno gra.

MATAŁKOWSKA. A bo to fiksat — kiedyś podobno dawał koncerty... Wierciołek, powiedz mu, niech wali szambr separe — to się gościom podoba.

SCENA SZÓSTA.

Ciż — Kazimierz Wielhorski, Bogdański.

JÓZIA. *(biegnąc ku nim)*. A jesteś pan nareszcie?

KAZIMIERZ. Jak się masz Józiu!

JÓZIA. Dobrze... myślałeś pan o mnie dziś rano?

KAZIMIERZ. I nieraz... masz stolik?

JOZIA. Jeszczebym dla pana nie miała stolika?

I GOŚĆ. Panno! panno... a moja musztarda...

JÓZIA. Nie mam teraz czasu — zaraz panu podam.

I GOŚĆ *(zły)*. Ja byłem pierwszy — mnie należy usłużyć...

JOZIA *(sadzając Kazimierza i Bogdańskiego)*. Proszę... tutaj — ten sam stoliczek co zawsze.

I GOŚĆ. Panno! panno!

JOZIA. A to nudny piernik.

KAZIMIERZ. Daj mu tę musztardę i wróć do nas, to się odczepi...

(Józia idzie po musztardę, niesie ze złością gościowi, stoik stawia na stole z impetem i wraca do stołu, gdzie siedzi Kazimierz).

MATAŁKOWSKA *(do Botkina)*. Może pan już teraz usiądzie przy drugim stoliku...

BOTKIN. Dobrze!... dobrze!... wiem!...

MATAŁKOWSKA. Czy dziewczyna ma z panem pozosać przy stole, czy zostawić pana samego i niech kelner służy?

BOTKIN. Teraz dziewczyna — a potem skoro... już nie będę sam, niech kelner da nam dzienniki.

MATAŁKOWSKA (*do Kłoci*). Klocia! idź z panem do stołu i służyj panu.. (*Botkin i Klocia odchodzą*). A to ładna historia! a tom się wplątała...

KAZIMIERZ (*do Józi*). Dasz nam przedewszystkiem wódki i rzodkiewek, masła i śledzia na zakąskę...

JÓZIA. Dobrze... a ma pan zielone?

KAZIMIERZ. Nie mam.

BOGDAŃSKI. Co takiego?

KAZIMIERZ. Ano — gram z Józią w zielone!...

JÓZIA. Przegrał pan! przegrał pan! co mi pan kupi za przegrane?

KAZIMIERZ. Co zechcesz? — A teraz daj jeść, bo umieramy z głodu. (*Józia odbiega do bufetu — wybiera przekąski i nalewa wódkę*).

BOGDAŃSKI. Czyś ty naprawdę oszalał? Grasz w zielone z tą głupią dziewczyną.

KAZIMIERZ. Co chcesz? muszę się zniżyć do poziomu jej inteligencji. Ona szalenie lubi, żeby z nią grać w zielone, dlatego jej mam odmówić tej przyjemności. Czy moje komentarze do Nietzschego ucierpią co na tem?

BOGDAŃSKI. Zapewne. Skoro masz w umyśle na tyle siły odpornej, że cię nawet gra w zie-

lone z restauracyjną dziewczyną nie ogłupi...
Tylko...

KAZIMIERZ. Już wiem, co chcesz powiedzieć...
Dziwisz się, że spędzam tu czas, który mógł-
bym a nawet powinienbym przepędzić obok
innej... Anna...

BOGDAŃSKI. O nie wymawiaj nawet tego imie-
nia w tem miejscu...

KAZIMIERZ. Idealista... Jakże ci powiem? jakże
ci wytłómaczę, ażebyś mnie zrozumiał, że ja
odpoczywam przy tej głupiej restauracyjnej
posługaczce, znużony bezmiarem inteligencji
mojej narzeczonej.

BOGDAŃSKI. Kaziu...

KAZIMIERZ. Co chcesz? jestem człowiekiem
z krwi i kości, a Anna jest... aniołem! Ona
jest dla mnie za mądra, za niedościgła, za
piękna, za czysta... słowem, za — za... — Ja ją
kocham, cenię, wielbię, czczę — ale jej wyż-
szość mnie onieśmiela, przygniata — odurza —
czyni chorym — zgębionym... Potrzebuję ode-
tchnąć...

BOGDAŃSKI. Tu? w knajpie?

KAZIMIERZ. My młodzi mamy tylko dwie atmo-
sfery do oddychania, — albo obowiązek i praca,
albo... tego rodzaju rozrywki...

BOGDAŃSKI. Czyż to rozrywka?

KAZIMIERZ. W bezmyślności jej — odpoczynek.
Mózg strudzony wysiłkiem całodziennym, pławi

się poprostu w szumie, w brzęku tego rozklekotanego fortepianu, nie myśli, nie pracuje i odpoczywa... A w dodatku jeśli siedzie przy tobie jeszcze ładna dziewczyna...

BOGDAŃSKI. Znajdujesz ją ładną?

KAZIMIERZ. Uosobienie głupoty — owca odziana w spódnice — popatrz na jej oczy — co za cudowny brak wyrazu...

BOGDAŃSKI. Dziękuję... nie zachwycają mnie wcale.

JÓZIA (*podchodzi z wódką*). Oto wódka!

KAZIMIERZ. Napijesz się z nami?

JOZIA. Najchętniej — zdrowie panów... (*do Bogdańskiego*). Co pan taki zasumowany? może pan się kocha? co? zgadłam!... ja tylko popatrzę na mężczyznę, to zaraz wiem, czy on się kocha, czy nie...

SCENA SIÓDMA.

(*Ciż sami — Korniołof wchodzi — podsuwa się do bufetu cicho. Tymczasem ruch trwa ciągle — ruch restauracyjny — w którym sami artyści grać winni i brać odpowiedni udział*).

PULK. KORNIŁOF (*podchodzi do Matałkowskiej*).

Czy jest dla mnie miejsce?

MATAŁKOWSKA. Stolik w środku, proszę pana..

PULK. KORNIŁOF. Niech pani tak nie dyga, to zwraca uwagę...

MATAŁKOWSKA. Panie pułko... a przepraszam...
bardzo! bardzo!... czy aby mnie się nic złego
nie stanie?... czy mnie nie tego... (*daje znak
ręką zamknięcia w więzieniu*), bo ja mam dzieci...
one się tam uczą... ja przecież nic nie winna.

PUŁK. KORNIŁOF. Niech się pani Matałkowska
nie boi... my takich pięknych dam jak pani
Matałkowska nie zamykamy.

MATAŁKOWSKA. O... panie!... (*Pułk. Kornilof
daje jej znak i idzie do stolika, przy którym
siedzi Botkin*).

1-GOŚĆ. Płaczę.

KELNER. Zaraz!...

KAZIMIERZ. Cóż Józiu? co ci kupić za prze-
graną?

JÓZIA. A bo ja wiem.

KAZIMIERZ. A pozwolisz mi się dzisiaj odpro-
wadzić do domu? (*głęboko*)

JÓZIA. Ale tylko do bramy.

BOGDAŃSKI. Jakto! czy nie pójdziemy wcale do
państwa Elsen? Wszakże mieliśmy tam zajść
po pannę Annę i twoją siostrę.

KAZIMIERZ. Odprowadzi je kto inny.

(*Maryan wchodzi*).

BOGDAŃSKI. Daruj mój drogi — w takim razie
ja sam pójdę.

KAZIMIERZ. Proszę cię, nie zostawiaj mnie sa-
mego — dopóki nie będę mógł pozostać sam
z Józią.

BOGDAŃSKI. Dlaczego... czy znów?...

KAZIMIERZ. Tak! (*do Józki*). Przynieś nam portera!

(*Kornułof i Botkin jedzą w milczeniu*).

SCENA ÓSMA.

Ciż sami i Maryan Geyer.

MARYAN (*wchodzi do bufetu, wita się z Matalkowską i podchodzi do Kazimierza*). Wiedziałem, że was tu zastanę... Można usiąść?

KAZIMIERZ. Ależ naturalnie. Idziesz do Elsenów?

MARYAN. Tak, wszyscy nasi tam już się zebrali.

Ana Panna Lasowska, twoja siostra, Szatkowscy...

BOGDAŃSKI. Co robią?

MARYAN. Czytają „Samotne dusze“.

BOGDAŃSKI. W oryginale?

MARYAN. Tak. Ja byłem jak na niemieckiem kazaniu, więc dałem nura. Dajcie mi sznapsa i jakiego tam co na przetrącenie. U nas dziś w domu okropny bal. Tańczy 80 par — orkiestra — cała parada — okazało się jednak, że syn pana domu ma zanadto odrapany mundur, ażeby mógł się pokazać osobliwym gościom. Fraka włożyć siła ludzka, ani przekleństwo ojca mnie nie zmusi — więc poszedłem tam, gdzie mogę śmiało prezentować moje wytarte łokcie... to jest do Elsenów i do knajpy!...

KAZIMIERZ (*śmiejąc się*). Wstyd przynosisz swojej rodzinie...

MARYAN. Grożą mi wydziedziczeniem, a ja im dawaniem korepetycyi... Pojmujecie, co za hańba... ja, syn znanego przemysłowca, który ma willę w alejach i Zakopanem, dwa domy na Marszałkowskiej, fabrykę gwoździ i sześć koni w stajni — ogłaszam się w Kuryerze jako zdolny korepetytor za obiad lub pomieszkanie... To byłaby frajda...

KAZIMIERZ *(do Józki, która przyniosła porter)*. Józienko! daj temu panu kotlet, ale na świeżem maśle...

MARYAN. To będzie trudno...

JÓZIA. E! dla pana to się znajdzie! *(odbiega)*.

MATAŁKOWSKA *(do kelnera)*. Temu panu w środku w binoklach zrobić befszytk ze świeżej polewicy i na deserowem maśle. Słyszysz?

KELNER. Niby extra.

MATAŁKOWSKA. Zupełnie extra — masz masło...

MARYAN *(pijąc wódkę — do Kazimierza)*. Ta Józka — to twoja?

KAZIMIERZ. Niezupełnie. Bruździ mi jeden oficer. Dziewczyńie głupiej mundur się zawsze podoba, więc i na niego się nie boczy. A on postępuje nachalnie i wyzywająco...

MARYAN *(śmiejąc się)*. To znaczy, iż panna Józka wprowadzić chce w czyn ugodowe mrzonki.

BOGDAŃSKI. Masz rację, nazywając te złudzenia mrzonkami.

KAZIMIERZ. Pozwólcie jednak...

BOGDAŃSKI. O! to, co w sercu boli lat tyle,
czy można zatrzeć w kilka dni?

MARYAN (*bijąc pięścią w stół*). Nie! nie!

KAZIMIERZ. Jesteście nieprzejeđnani?

BOGDAŃSKI. Tak, jak i ty — tak, jak chyba
my wszyscy... tak, jak Anna... jak twoja siostra...

KAZIMIERZ. Jak wszystkie zapalone głowy! Ja
to już przeżyłem!...

MARYAN (*śmiejąc się*). Złodowaciałeś, bo masz
o trzy lata więcej, niż my i zdaje ci się przez
to, że należysz do innej generacji.

KAZIMIERZ. Nie — tylko dlatego, że od trzeciej
klasy żyłem z dawania korepetycyi... pracowa-
łem ciężko i teraz utrzymuję siebie i siostrę
lekcjami.

BOGDAŃSKI. Ja jestem jeszcze biedniejszy od
ciebie, a jednak...

KAZIMIERZ. Jesteś sam — to wielkie słowo.

MARYAN (*z ironią*). A więc ty jesteś ostrożny?

KAZIMIERZ. Jeżeli chcecie — tak.

BOGDAŃSKI. Nie na wiele jednak ci się ta
ostrożność przydaje...

KAZIMIERZ. To prawda. Od pewnego czasu te
przesyłki przychodzące do mnie pocztą w zdumie-
nienie mnie wprawiają... Sądziłem z początku,
że to żart, że ktoś lekkomyślnie chce mnie
narazić, ale teraz powtarza się po raz trzeci...

BOGDAŃSKI. Co robisz z tymi papierami?

KAZIMIERZ. Palę natychmiast.

BOGDAŃSKI. Czy powiedziałaś o tem Annie?

KAZIMIERZ. Nie — ani jej, ani mojej siostrze.

BOGDAŃSKI. Siostra twoja to jeszcze dziecko —
ale przed Anną powinienesz być się zwierzyć...
To kobieta, to serce... to już rozwinięta i ro-
zumna dusza.

KAZIMIERZ. Lękam się jej egzaltacyi. A zresztą
i ona ma przedemną tajemnice. Dawno to
spostrzegłem.

BOGDAŃSKI. Jeżeli ma tajemnice, to twoja ostro-
żność jest tego przyczyną.

KAZIMIERZ. A więc — oddajemy sobie tylko
piękne za nadobne.

MARYAN. Co jest w tych papierach, które ci
pocztą nadsyłają?

KAZIMIERZ. Dokładne plany fortцы nowogior-
giewskiej — rozporządzenie armii w chwili
mobilizacyi.

BOGDAŃSKI. Nie mów tak głośno...

(*Mówią ciszej*).

KORNIŁOF (*do Botkina*). Idź pan, powiedz, ażeby
przestali grać na fortepianie. Ani słowa usły-
szyć nie można.

BOTKIN. Według rozkazu. (*Wstaje i lawirując
między stolikami idzie do bufetu, gdzie mówi po
cichu z Matałkowską, ta woła Kłocię i posyła
ją do tapperę, który grać przestaje*).

1. GOŚĆ. A to mi dała musztardy — nic się do-
skrobać nie mogę,

2. GOŚĆ. Panno Klociu, w tym rozbratlu dużo kości, a mięsa ani odrobiny.

KLOCIA. E! uprzedza się pan.

3. GOŚĆ (*do 1. dziewczyny*). Czego ty we mnie ciągle wmawiasz ten porter? Ja nie lubię porteru.

DZIEWCZYNA 1. Mógłby się pan napić choć bez grzeczność dla mnie.

2. GOŚĆ. Także! Każ mi dać jedno ciemne.

3. GOŚĆ. Dlaczego nie grają na fortepianie? Cóż to pogrzeb?

2. GOŚĆ. Hej stary! zagraj co — z jakiej operetki!

WSZYSCY. Tak, z operetki.

1. GOŚĆ. E! do diabła z operetką — grajcie sobie, co chcecie, ale tego słuchać nie będę.

(*Gwar wzrasta*).

MATAŁKOWSKA (*do kasyerki*). Proszę nie spać! Uśmiechać się do gości!

KASYERKA. Kiedy mam twarz spuchniętą.

MATAŁKOWSKA. Także się panna z tą fluksją wybrała.

KASYERKA. Tutaj takie przeciagi.

MATAŁKOWSKA. A czemu ja mam gębę prostą? bo znam swój obowiązek i zanadto gości szanuję, żebym z podwiązana twarzą za bufetem siedziała. Jak mi panna jeszcze raz spuchnie, to oddam kaucyę i proszę się wynosić z interesu... Ja mam dzieci i... (*do pierwszego gościa, który podchodzi do bufetu*). Pan dobrodziej smir-

nówki, czy angielskiej gorzkiej... a może śliwowicy?...

1. GOŚĆ. Ja tu ze skargą — te panie kelnerki, to tylko szast prast — a usługi żadnej. Musztardy mi dała, ale pusty słoik, o! niech pani osądzi... (*Wpycha pod nos Matałkowskiej słoik*).

MATAŁKOWSKA. Panie łaskawy — ja moje kelnerki dobrze tresuję i goście sobie je bardzo chwalą.

1. GOŚĆ. Może młodzi, ale starzy to nie.

MATAŁKOWSKA. Co pan chce — młodość do młodości ciągnie...

1. GOŚĆ. A do stu tysięcy djabłów, napisz pani, że tu tylko młodym usługują... (*Odchodzi rozłoszczony*).

KLOCIA (*pomiędzy grupą gości przy drzwiach*).
Może podać szampana?

GOŚCIE. Nie! Nie!

KLOCIA. Micret-żen... po 3 ruble... Jak Bożę kocham, panowie się nie zrujnują.

SCENA DZIEWIĄTA.

Ciż sami — Nikiforof — Agafonof — Strelkof (wchodzą w szynelach pijani — Nikiforof, kornet od dragonów w długim szynelu, w białej czapce bez daszka — skrzyżowane rzemienie białe na piersiach od szabli, ale jest bez szabli, ładny, młody, wysoki — buty i duże dzwoniące ostrogi. — Agafonof, niemłody, typ tatarski, mundur piechoty warszawskiego

pułku. — *Strelkof, młody, bardzo brzydki, włosy na jeża, ogolona twarz, zgrabny, mundur konnej artylerji.* — *Wchodzą z szumem i hałasem, przechodząc kłaniają się na prawo i na lewo gościom i przesu- wając się pomiędzy stolami powtarzają „Pardon — winowat — izwinitije“).*

JÓZIA (*biegnąc na ich spotkanie*). Dzień dobry panom oficerom!

KAZIMIERZ (*do kolegów*). Wstańmy i chodźmy!

Oni są już pijani — lepiej się nie narażać.

MARYAN. Ani myślę... cóż oni mogą chcieć od nas... nie zwracajmy na nich uwagi...

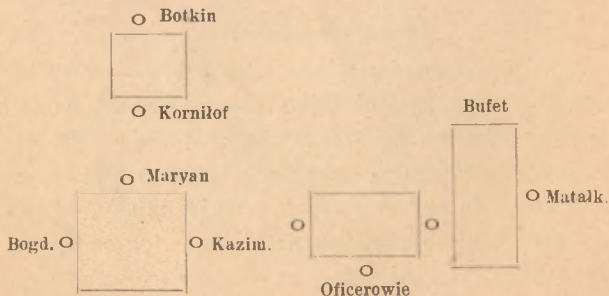
KAZIMIERZ. Pamiętaj, że walka nierówna.

MARYAN. Ja też walczyć nie myślę. Skończę swój kotlet, zjem kawałek sera i pójdziemy gdzieindziej na czarną kawę.

KAZIMIERZ. Chciałem odprowadzić Józię.

MARYAN. Odprowadzisz ją jutro... zresztą ona teraz zajęta — nie ma czasu.

(*Oficerowie zajęli stół środkowy*).



JÓZIA (*do Strelkofa*). Ma pan oficer zielone?

STREŁKOF. Zabył...

JÓZIA. To pan przegrał.

STREŁKOF. Tamu ja rad.

NIKIFOROF. Panna! a daj panna co pić.

JÓZIA. A co?

NIKIFOROF (*b. pijany*). Szampańskoje — a cóż innego? co my możemy pić?... my nie psy, żeby wodę chłapać.

JÓZIA. Ile butelek?

NIKIFOROF. Co to ile? tyle co każę (*tłucze kieliszek*) a to na początek!

AGAFONOF (*pijany*). Grigoryj Antonowicz — gałubku nie bij! nie bij! a to także taka toska i mnie za serce chwytła! że i ja zbiju, całą pasudu, a potem budiet szkandal...

NIKIFOROF. Ty Juryj Iwanowiczu jesteś prosto pijany... szkandalu być nie może, bo ja jestem kawaleryst... o!... do mnie nikt nie ma (*tłucze szklankę*). Ja pić z takiej pasudy gdzie byle pierwsze prachwosty mordy maczały — nie będę... Niech mi dadzą inną pasudę..

STREŁKOF (*do Józi, która przyniosła szampana*). Panna z nami się napije? Ha?

JÓZIA (*oglądając się na Kazimierza*). Ja obiecałam już tym panom...

STREŁKOF (*gwałtownie*). Co to obiecałam? Ja pierwszy. Ja w pannu wlublon do biezumja...

panna będzie tu siedzieć, a potem ja panne do domu odwiozę.

JÓZIA. Kiedy proszę pana — tamten pan to się chce gwałtem ze mną żenić... Jak Bożę kocham!

STREŁOF. Co to żenić!... ta głupstwa! panna Józia powie, żebym się zariezał — to się zariezu... a niech mi nikt w drogę nie wchodzi, bo go butem rozgniotę (*kopie nogą i bije pięścią w stół*).

GOŚCIE (*koło drzwi zmieszane głosy*). Zaczyna się heca! chodźmy lepiej do domu! Niebezpiecznie! E, zostańmy.

MATAŁKOWSKA (*do kelnera*). Niech Wierciołek poprzynosi i postawi im te wybrakowane talerze i szklanki.

(*Kelner odchodzi*).

MATAŁKOWSKA (*idzie do drzwi do dzieci*). Zamknijcie się na klucz! otworzycie tylko wtedy, kiedy ja zastukam (*wraca*). Matko Boska miej nas w swojej opiece!

NIKIFOROF (*pijąc*). Kawaleryst — o! to chluba armii, a cóż ty Juryj Iwanowiczu — ty piechotnyj... ty ot... prjamo nic... Gdzie u ciebie szpory? Gdzie szpory? a u mnie angielskie... Ja za nich pięć razy areszt odsiadywał, a wsio taki ich nie snimu... Pustiaki (*tłucze szklanki i kieliszki, przyniesione przez kelnera i podstawione mu pod łokieć*).

AGAFONOF (*z płaczem*). Ty praw gałubczyk, że mi od piechoty wymyślasz — no sztoż diełat!... ja syn biedaka... sam biedniaszka — ot nie było za co kawaleryjskie uczyliszcze kończyć... Tak postąpił w piechotę no wsio ja taki kapitan?

(*Zaczyna śpiewać*):

Zapregu ja trojku borzych
Tiomno sierych łoszadiej
I poniesusia w nocz morožnoj
Priamo k' lubuszkie mojej.

STREŁKOF (*do Józi*). A ja pannie mówię po raz ostatni — jak mnie panna lubić nie będzie, to ja ubiju i pannu i siebie i tawo — co za pannoj będzie uchażywał.

JÓZIA. Co ta pan straszy.

STREŁKOF. Jej bohu tak zrobię... ja już takoj z rodu — ja to co chcę, to muszę mieć, chadźby i da piekła pójść... Panna Józia będzie mnie lubić...

PULK. KORNIŁOF (*do Botkina*). To Strełkof?

BOTKIN. Tak — porucznik — (*śpiew*).

NIKIFOROF. Batuszka! przestań pieć trojkę... Hej tam tapper... Kamarynskoj! Panna zanieś mu bumażkę... Kamarynskoj!

AGAFONOF (*śpiewa w dalszym ciągu*). Hej wy konie mołodyje...

NIKIFOROF. Kamarynskoj! bo wam budę rozniose...

MATAŁKOWSKA (*do kelnera*). Każ grać co chcą,
bo będzie z tego skandal.

(*Frajman zaczyna grać Kamarynskoj. — Wszyscy goście powoli się uciszyli*).

BOGDAŃSKI. Chodźmy już, bo się uduszę!

MARYAN. Zaraz, tylko ser skończę.

BOGDAŃSKI. Podziwiam twój brak nerwów.

MARYAN. A ja podziwiam, że to na ciebie jeszcze działa.

KAZIMIERZ. Chodźmy! Józiu! płacić.

STREŁKOF (*wyzywająco*). Panno Józiu!

(*Józia niezdecydowana stoi pomiędzy nimi*).

KAZIMIERZ. Ile się należy?

JÓZIA (*biegnie do bufetu*). Zaraz (*do Matałkow.*).

Niech Wierciołek idzie po pieniądze, a mnie niech pani schowa.

MATAŁKOWSKA. Wierciołek przed okno — płacić — chodź za bufet.

(*Józia wbiega za bufet i przykleka*).

STREŁKOF (*wyzywająco do Kazimierza*). Panowie już idą! panowie nie lubią kamarynskoj? panowie odchodzą?

(*Polacy milcząc zabierają się do odejścia*).

STREŁKOF (*j. w.*). Panowie może do nas się przysiądą i trochę zabawią... bakał szampan-skawo ad czistawo sierca.

KAZIMIERZ. Nam do domu pora wracać... panowie nas przepuszczą...



STREŁKOF (z wybuchem gniotąc butem kieliszek).

Ad czistawo sierca ofiaruju bakał, tak należy go przyjąć — inaczej to obraza... Nikiforof — słyszysz... ci panowie nie chcą napić się z nami.

(*Botkin i Kornitof w głębi powstali — wszyscy goście w milczeniu powstają, niektórzy chyłkiem się wynoszą — dziewczyny uciekają za bufet*).

MATAŁKOWSKA (zdejmując prędko z bufetu szkło)

Zdejmujcie klosze... prędzej... gasić dużą lampę... (*kasyerka gasi lampę na bufecie*). Chować kompotierki pod bufet...

DZIEWCZYNY. Jezus! Marya!

MATAŁKOWSKA. Cicho głupie!

NIKIFOROF. Nie chcą pić? gdzie szaszka? (*szuka szabli*). Kawaleryst ich nauczy...

BOGDAŃSKI. Nie wiem kto kogo!

STREŁKOF. Można się przekonać...

MARYAN. Do stu dyabłów, dość tego!

AGA FONOF (*powstrzymując Strelkofa*). Aloszka! bracie... co ty robisz!

STREŁKOF. Pusti mienia! ja ich nauczu...

(*Hałas — nagle pomiędzy nimi staje Kornitof*).

PUŁK. KORNITOF. Pażałujsta!... patisze!...

(*Oficerowie się usuwają... Botkin podchodzi do nich i mówi im coś do ucha*).

NIKIFOROF. Mnie to wsio rawno. Ja kawaleryst, on do mnie nic.

KORNIŁOF. Patisze!... *(surowo patrzy na nich — oni mimowoli pod tym wzrokiem się cofają — podchodzi do Polaków i mówi bardzo grzecznie).* Panowie najlepiej zrobią, jeśli pójdą stąd zaraz... walka nierówna... ja panów przeprowadzę...

BOGDAŃSKI. Ależ...

KORNIŁOF. Duma nie pozwala? wiem! wiem! panowie dumni — nie chcą ustąpić z placu boju — ale panowie są rozumni i trzeźwi — panowie wiedzą, że to miejsce nie do boju — panowie wyjdą... tedy... ja proszę... do rozumu mówię!...

KAZIMIERZ. To pan? pan?

KORNIŁOF. Ciszej... pan mnie nie znasz!

KAZIMIERZ. Ależ...

(Korniłow przeprowadza ich, trzymając wzrokiem na uwieży oficerów).

KORNIŁOF. Pan mnie nie powinienes znać... *(powraca do oficerów).* A panowie mogą dalej kutit!... proszę bardzo!... grajcie kamaryńskoj... panowie się będą bawili... *(zabiera swój kapelusz i mówi do Botkina).* Proszę tu jeszcze zostać... może pan być tu potrzebny... *(cicho).* Żegnam... do świdanja... *(kłania się uprzejmie pani Matałkowskiej i kasyerce i wychodzi).*

STREŁKOF *(do siebie).* Prachwast żandarm! zaciem on siuda przszoł *(siadają do stołu — mu-*

zyka gra Kamarynskoj — goście wyszli — światła na pół pogaszone).

NIKIFOROF. Jeszcze butelkę! — kawaleryst funduje!

AGAFONOF. Aloszka! gołubczyk... spiej ty łuczsze sa mnoj.

Jedu... jedu, jedu k'niej,

Jedu k' lubuszkie mojej!

Propadaj moja telega

Wsie czetyre koleśa!

STREŁKOF (*po śpiewie*). Józia! gdzie ty!... ha? skryła się!... ha?

(*Zasłona spada*).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

(Scena przedstawia skromnie umeblowany pokój jadalny. Na środku stół okryty ceratą, krzesła dokoła. Lampa wisząca zapalona. Po lewej piec. Po prawej i po lewej drzwi. W głębi drzwi do przedpokoju. Szafy do sukien, kilka kufrów. Na ścianach sztychy. Pod piecem owinięta siedzi Anna Lasocka. Trzyma w ręku książkę, lecz jej nie czyta. Zegar bije siódmą. Z przyległych drzwi (lewa strona) wychodzi Bogdański).

SCENA PIERWSZA.

(Anna — Bogdański).

ANNA *(po chwili)*. Skończył pan dziś wcześniej lekcję, niż zwykle.

BOGDAŃSKI. Chłopcy dziś byli pojętniejsi, niż zazwyczaj, a może uważniejsi...

ANNA. Ja sędzę, że zdrowsi. Położyli się wcześniej spać, więc umysł ich miał czas wypocząć.

BOGDAŃSKI. Może...

ANNA. A może pan dziś mówiłeś do nich jaśniej, spokojniej i to na nich oddziaływało...

BOGDAŃSKI. Tak — masz pani słuszość. Czuje się dziś jakoś rzeświejszym, niż zwykle. Mam w sobie cały zapas życia i nadziei... Czy mi pani pozwoliś usiąść koło siebie?

ANNA. Usiądź pan — i ja lubię mieć pana obok siebie, tembardziej dzisiaj.

BOGDAŃSKI. Dlaczego dzisiaj?

ANNA. Sam pan mówiłeś, że czujesz się dzisiaj rzeświejszym i pełnym nadziei.

BOGDAŃSKI (*siadając obok niej*). Czy pani dziś zwątpiłaś?

ANNA. Jestem przedewszystkiem kobietą, a więc wpływy zewnętrzne działają na mnie z podwójną mocą. — Dziś nietylko, że jestem smutna, ale...

BOGDAŃSKI. Dlaczego pani urwała? Czy ja nie zasługuję na pani zaufanie?

ANNA. Cóż za pytanie!... Jesteś pan moim najlepszym przyjacielem — po Kazimierzu.

BOGDAŃSKI. A — tak! po Kazimierzu.

ANNA (*z uśmiechem*). Nie możesz pan chcieć, aby było inaczej. Mój przyszły mąż musi być najlepszym przyjacielem moim.

BOGDAŃSKI. Chcesz go pani zanadto hojnie obdarzyć. Oddaj jemu swą miłość — mnie przyjaźń.

ANNA. Nie, nie. W miłości nie pojmuję jakiegoś wyjątku. Miłość musi koncentrować w sobie wszystkie uczucia. Jestem pewną, oh! najpe-

wniejszą, iż Kazimierz kocha mnie tak samo, wyłącznie, niepodzielnie — całą głębią swej duszy. Ja powinnam mu odpłacać podobnie; wszystko, co jest najlepszego we mnie, włożyć w miłość, jaką mam dla niego (*po chwili z wielkim wdziękiem, lecz bez cienia kokieterji*). To zaś, co z zaufania, z wiary, z sympatyj gorącej i szczerzej pozostanie mi jeszcze w duszy — oddaję panu... Nie skarż się, wierz mi, że to, co daję, to bardzo wiele, to... dużo!

BOGDAŃSKI (*ściskając jej rękę*). Dziękuję — dziękuję... Jesteś dobrą o!... tak bardzo dobrą, że chwilami... (*urywa — pociera ręką po czole*) chwilami... (*milczenie*).

ANNA. Jak wiatr w piecu jęczy, skarży się i zawodzi...

BOGDAŃSKI. Tak — dziś bardzo chmurno i smutno na dworze.

ANNA. Co robiliście wczoraj? Dlaczego tak późno przyszliście do Elsenów?

BOGDAŃSKI. Pracowaliśmy.

ANNA. Kazimierz był z wami?

BOGDAŃSKI. Był.

ANNA. Wydał mi się wczoraj szczególnie zdenerwowany i rozdrażniony. Pytałam go o przyczynę — zbył mnie milczeniem. Czy pan nie wiesz? czy nie spotkało go coś nieprzyjemnego?

BOGDAŃSKI (*krótko*). Nie sądę. Ale — ale — (*ciszej*) czy dostałaś pani nową przesyłkę?

ANNA. Dostałam wczoraj.

BOGDAŃSKI (*przysuwając się*). I cóż?

ANNA. Przejrzałam dość skrupulatnie. I przyznam się panu, jestem rozczarowana. Obiecywałam sobie po tem wydawnictwie wiele. Sądziłam według listownych zapowiedzi, że wreszcie znajdzie się ktoś, co potrafi rzecz tę umiejętnie i uczciwie napisać. Gdzie tam! Szumna frazeologia i nic więcej.

BOGDAŃSKI. Dziwna rzecz, jak ci ludzie pisząc, tracą z oczu główny cel i dają się unosić chęci popisania się swoją erudycją.

ANNA (*z zapalem*). Tak! tak!... zamiast jasno, bez oddechu zawiści, który w prostym ludzie zawsze niewiarę budzi — przemówić do tego chłopskiego rozumu, jako do potężnej siły w tych sprawach — oni szkodzą tylko, rodmuchując pojedyncze i małosłkowe urazy, szkodzą fatalnie i opóźniają to, co przyspieszyć powinni...

BOGDAŃSKI. Gdzieżby jednak ci panowie umieścili swoje skarby wiedzy — przecież się muszą z niemi popisać.

ANNA (*j. w.*). Nie — nie — do prostej duszy trzeba mówić jasno, prosto i trzeźwo. I przede wszystkim rozjaśniając sytuację, łagodzić popędy dzikości i nienawiści. Wierz pan — nie umiem ci tego powiedzieć, ale tu trzeba spokoju i powagi męzczyzny z delikatnością

uczuc kobiecego instynktu... Nie wiem, czy mnie pan rozumiesz...

BOGDAŃSKI (*patrząc na nią z uwielbieniem*). Rozumiem cię doskonale, panno Anno, i zdaje mi się, że ty jedna potrafisz połączyć w sobie te dwa pierwiastki. Spróbuj — napisz cokolwiek...

ANNA. Ja? — O nie, nie potrafię... Ale gdyby...

BOGDAŃSKI. Gdybym — ja?

ANNA. Nie! gdyby Kazimierz chciał — on jeden. Tak! on jeden mógłby to uczynić.

BOGDAŃSKI. Tak — ale Kazimierz nie zechce, nie może...

ANNA. Wiem, wiem! Ale ja nie tracę nadziei.

Kto wie, może po naszym ślubie — gdy będziemy ze sobą bliżej, ściślej złączeni, dawne jego ideały i wiara powróci — kto wie?...

BOGDAŃSKI. Może! (*po chwili*). Gdzie pani broszurki schowała?

ANNA. W moim pokoju — na piecu wysoko! Nie znajdzie nikt. Gdyby pani Korbiel dowiedziała się lub wpadła na ślad — biedna kobieta — wymówiłaby nam mieszkanie.

BOGDAŃSKI. Dziwić się jej nie można. Wdowa, troje małych dzieci. Ona zna tylko swój obowiązek.

ANNA. Już i tak krzywem okiem patrzy na nasze literackie zebrania. Skarży się, że za długo w nocy siedzimy. Zaproponowałam jej, że się

przeniesiemy do pokoju Kazimierza, który jest od nas oddzielony tylko kurytarzem. Lecz pocziwa pani Korbiel znalazła, że to będzie nieprzyzwoicie i wołała już z rezygnacją oddać nam w posiadanie jadalny pokój.

SCENA DRUGA.

(Ciż sami — Marta, młoda, ładna dziewczyna, wbiega osypana śniegiem do przedpokoju i tam strzepuje ze siebie śnieg śmiejąc się).

MARTA *(w przedpokoju)*. Święty Marcin! Święty Marcin na białym koniu przyjechał!

ANNA. Maciu! — co robisz — wszystkie ubrania zamoczysz.

MARYA *(j. w.)*. Święty Marcin! Święty Marcin! *(wpada)*. Patrz na moją grzywkę — posypana brylantami! ho! ho! topi się — będę ładnie wyglądała. Pójdę i zafryzuję się. Dzień dobry panu!... wiesz, ślisko na ulicy — przewróciłam się — tu pod samym domem — jakiś oficer mnie podniósł i mówi: „madmoisels wam niczego nie słuczyłoś?” — a ja jemu: „niets gaspadins pałkowniks...” I szust do bramy... A on został przed bramą. No... idę do swego pokoju. Kazio wrócił? nie? miał być o siódmej! A! macie tu sucharki! hi! hi! podusiłam je, padając i farba się z niemi zmieszała... Ja zaraz przyjdę... *(wybiega na prawo, rzucając na*

stół pakiet z sucharkami i kilka blaszanych tubek z olejnymi farbami. Anna zbiera to wszystko, niesie na kredens i układa na talerzyku sucharki).

BOGDAŃSKI. Szczególniej strzeż się pani, aby ta mała roztrzepanica nic nie znalazła.

ANNA. O nie! naprzód powiedziałyby Kazimierzowi, a potem — to dobre, ale serdeczne głupiatko.

BOGDAŃSKI. Daj mi pani tę całą paczkę do domu. Ja przejrzę... może się przecież coś wybierze... a potem spalę.

ANNA. Nie — lepiej przyjdź pan tu jutro! Masz pan cały dzień wolny, bo to niedziela. Przejrzemy razem i spalimy.

SCENA TRZECIA.

(Ciż sami — Kazimierz — później pani Korbiel i Dziunia).

KAZIMIERZ. Dobry wieczór! *(całuje Annę w rączkę).*
Cóż tu spiskujecie?

ANNA. Dziwimy się, że już ósma, a ty jeszcze nie przyszedłeś.

KAZIMIERZ. Wymówka?

ANNA. O! cóż znowu — to żart!

KAZIMIERZ. Dostałem znów nową lekcję. Będę musiał częściej wieczorami wychodzić.

ANNA. Usprawiedliwienie?

KAZIMIERZ. Nie... tylko... *(urywa).* Jeszcze niema nikogo?

BOGDAŃSKI. Jestem ja i twoja siostra.

KAZIMIERZ. O! wy się nie liczycie — wy jesteście domowi. Gdzież Macia? Dostałem list z domu — od mamy — chciałbym go jej przeczytać.

ANNA. Macia jest w swoim pokoju — zaraz ją zawołam.

KAZIMIERZ. Zaczekaj jeszcze chwilkę. Czy pani Korbiel jest u siebie?

ANNA. Tak.

KAZIMIERZ. Muszę z nią pomówić. Chciałbym bowiem powiedzieć jej, że od piętnastego wyprowadzam się...

ANNA. O... (*po chwili*). Czy i Macię zabierzesz ze sobą?

KAZIMIERZ. Nie — Macia niech mieszka obok ciebie, jak dawniej. Ty jedna umiesz przemówić do jej rozsądku... Ja zaś wyprowadzam się — bo... bo... zresztą mam powody.

ANNA (*kładąc mu rękę na ramieniu*). Nie pytam o nie. Wierzę.

KAZIMIERZ (*całuje ją w rękę*). Dziękuję. Jesteś dobrą i wyrozumiałą.

SCENA CZWARTA.

Ciż i Pani Korbiel. (35 letnia kobieta, ubrana skromnie, ze szczoteczką do czyszczenia lamp i ściereczką, w fałdach jej sukni kryje się mała dziewczyna, skromnie odziana i na chwilę od matki nie odstępuje).

PANI KORBIEL. Dobry wieczór państwu! Ach, ta Magdalena — zapaliła lampę i szkiełka nie oczyściła...

ANNA. Ja oczyściłam...

P. KORBIEL. Ale z pewnością rezerwoaru nie obtarła — państwo pozwoli? ja otrę... Dziunia, nie płacz mi się pod nogami... państwo pozwoli? (*obciera lampę*).

BOGDAŃSKI. Pani pozwoli — ja panią wyręcę.

P. KORBIEL. Gdzie zaś? Pan mężczyzna — to babska robota.

KAZIMIERZ. Pani Korbiel — mam pani powiedzieć dwa słowa.

P. KORBIEL. Proszę pana... ale może pójdziemy do kuchni, bo tam dzieciom narządziłam herbatę, a chłopcy zaczęli się bić, gdy wychodziłam, więc... państwo daruje...

KAZIMIERZ. Dobrze — dobrze — ja z panią pójdę... (*wychodzą*).

SCENA PIĄTA.

Anna, Bogdański, później Kazimierz. (Anna i Bogdański patrzą na siebie w milczeniu — po chwili).

BOGDAŃSKI (*biorąc Annę za rękę*). Niech pani nie pozwoli mu się wyprowadzić z tego domu.

ANNA. Jakże to uczynić? Będzie sądził, że mu nie ufam.

BOGDAŃSKI (*z wybuchem*). A to niech sądzi! Ale

niech się nie wyprowadza. Zrozumie pani, iż kobieta nie powinna być nadto delikatną w postępowaniu z człowiekiem, którego kocha... Inaczej te subtelności obróćą się przeciw niej samej.

ANNA. O! co pan mówi! co pan mówi!...

BOGDAŃSKI. Trzeba chodzić po ziemi — trzeba się nauczyć chodzić po ziemi, panno Anno. Chcesz dla drugih polepszać moralne i materialne warunki bytu, zacznij więc od siebie.

ANNA. Czy to konieczne, aby od siebie?

BOGDAŃSKI. Konieczne — inaczej własny smutek zje ci siły i dla drugih walczyć nie będziesz w stanie.

ANNA. Co mam czynić?

BOGDAŃSKI. Broń swego szczęścia.

ANNA. Czy zagrożone?

BOGDAŃSKI. Broń szczęścia — powtarzam ci.

ANNA. A jeśli Kazimierz zrazi się wystąpieniem mojem?

BOGDAŃSKI. Zrazi go raczej bierna uległość. Widzieć w niej będzie chłód i zobojętnienie.

ANNA. Ależ on mnie rozumie.

BOGDAŃSKI. Być może.

ANNA. Dziękuję panu za radę — spróbuję zatrzymać go w tym domu. Lękam się jednak, że... e! zresztą — zobaczymy.

BOGDAŃSKI. Idę tam — pod pretekstem uspokojenia chłopców, których wrzaski aż tu dola-

tuja. Pozostanę w kuchni i przyślę go pani.
No.. odwagi i więcej siły... (*wychodzi*).

ANNA (*sama*). Bronić szczęścia? (*po chwili*). Bronić? — przed kim? skąd niebezpieczeństwo?

SCENA SZÓSTA.

Anna — Kazimierz.

KAZIMIERZ (*zakłopotany*). Macia jeszcze nie przyszła? Zawiele kokieteryi w jej wieku. Zdaje mi się, że zbudziło się w niej serce i kieruje się w stronę Maryana. Nie uważałaś tego, Anno?

ANNA. Nie uważałam.

KAZIMIERZ. To dziwne. Ty zdajesz się znać dokładnie serca ludzkie. Chwilami zdaje mi się, żeś ty przeżyła cztery razy swoje lata — tyle w tobie powagi i doświadczenia. Gdy sobie przypomnę ciebie dawną, wesołą, pustą, uśmiechniętą, aż żal mi doprawdy, że już nie jesteś taką, jaką byłaś.

ANNA. Któż tu zawinił? ty sam... Spędziłeś mi uśmiech z ust i wypłoszyłeś pustotę z serca. Nauczyłeś mnie myśleć inaczej, ukazałeś nędzę ludzką — kazałeś kochać — nie siebie. A więc tu wina twoja, nie moja. Pokochałam to, co ty kochałeś, co kochasz ciągle.. i bezmyślnie śmiać się nie umiem.

KAZIMIERZ (*zrywa się i zaczyna chodzić niecierpliwie po pokoju*). Ach! dałabyś pokój ze wspo-

mnieniami chwil, które jak ospa, albo szkarlatyna, każde z nas przebyć musi. Chorobę taką musową, konieczną, przeżyliśmy wspólnie i dziś powinniśmy trzeźwiej zapatrywać się na życie.

ANNA (*łagodnie*). Trudno zmienić to, z czem się już dusza zżyła.

KAZIMIERZ. Frazesy! zakaż swojej duszy przebywać w obłokach mglistych mrzonek i szkolidowego sentymentalizmu, a oduczy się łatwo i inaczej się na świat zapatrywać będzie... Cóż?... ja tak samo byłem porwany szaleńcem, jak ty — i wytrzeźwiałem. Teraz pragnę dobić się kawałka chleba i zapewnić byt sobie i mojej rodzinie. Oto obecne moje ideały. (*po chwili*). Dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób? twój wzrok denerwuje mnie...

ANNA. To nie mój wzrok, ale słowa, które usta twoje wymawiają, a którąś dusza neguje. Nie wiem, co wpłynęło na ciebie, ale od chwili wyjścia z cytadeli, zamiast zmęźnić i podnieść się na duchu, tyś upadł — pozornie. Ja chcę, ja muszę wierzyć, iż tylko pozornie.

KAZIMIERZ. Chciałbym, żebyś trochę posiedziała w tej cytadeli, zmieniłabyś z pewnością swe zapatrywania, a twe ideały zbladłyby i kto wie, może bezpowrotnie znikły.

ANNA (*prosto*). Nigdy!

KAZIMIERZ. Znów frazesy. Pamiętaj jednak Anno o co cię prosiłem. Nie mieszaj się nigdy w żadne

sprawy, grożące ci niebezpieczeństwem. Jesteś tak egzaltowana, że pokryjomu przedemną gotowa jesteś dać się wciągnąć w jaką propagandę i nieszczęście będzie gotowe. Pamiętaj, że gdy dowiem się o czemś podobnem...

ANNA. Co wtedy?

KAZIMIERZ (*stając przed nią*). Wtedy...

ANNA. Porzuciłbyś mnie może?

KAZIMIERZ. Kto wie!

ANNA. A!...

(*Chwila milczenia*).

KAZIMIERZ. Za nieposłuszeństwo... rozumiesz mnie Anno — za nieposłuszeństwo.

ANNA (*nagle*). Nieprawda!... oczerniasz się tylko. To być nie może, ażeby to, co pod tchnieniem twojem wzrosło, mogło stać się przyczyną naszego rozdziału. Wszakże ja nigdy tak cię nie kochałam, jak przez ten rok, gdy byłeś w więzieniu. Byłeś mi wówczas tak drogi, tak święty...

KAZIMIERZ. Tak — świętość ta nie dawała jeść ani mej matce, ani mej siostrze. Jeszcze dziś płacę długi zaciągnięte w owej chwili...

ANNA. Jesteś zniechęcony, rozdrażniony — to widoczne. Postaram się jednak teraz ja z kolei, aby obudzić w tobie dawne twe myśli i wiarę. Czuję się do tego silną i siłę tę czerpać będę w tem, czem ty sam mnie uzbroiłeś.

KAZIMIERZ. Nie próbuj nawet... Nie uda ci się

to... nie uda! Sama raczej przestań marzyć o niewdzięcznej pracy, niewdzięcznej i niebezpiecznej.

ANNA (*stanowczo*). Nie przestanę.

KAZIMIERZ. Cóż to? bunt? Anno! nie poznaję cię. Byłaś mi zawsze tak uległą.

ANNA. Uległą w dobrem, nie w złem.

KAZIMIERZ. Skąd masz pewność, że uleganie złudzeniom jest dobrem? Kto ci to powiedział?

ANNA. Serce me i sumienie.

KAZIMIERZ. Nieprawda — egzaltacya i egoizm. Nic więcej. A zresztą ja nie chcę mówić wyraźnie, ale oprócz twej egzaltacyi jest tu jeszcze coś, a raczej ktoś — kto mi ciebie buntuje i do szaleństwa popycha.

ANNA. Masz rację — jest to wspomnienie ciebie dawnego, takiego, jak byłeś przed cytadelą... tego, który tutaj — w tym samym pokoju, przy tym samym stole prowadził mą duszę w świat czynu, wszechludzkiej miłości i społecznej pracy.

KAZIMIERZ (*żywo, chodząc po pokoju*). Nie, nie, to nie abstrakcyja... ale istota żywa, czynna i oddziaływująca na twój system nerwowy źle i szkodliwie. Ja go znam, ja wiem, kto on... ja...

ANNA. Kazimierzu, co ci przychodzi do głowy?...

KAZIMIERZ. Dlatego zdaje się, iż najlepiej zrobię, przestając mieszać się pomiędzy was dwoje...

ANNA. Jakich... nas?

SCENA SIÓDMA.

Ciż sami — Bogdański (ukazując się we drzwiach, staje nieruchomy).

KAZIMIERZ *(w passyi)*. Ciebie i... *(wskazuje Bogdańskiego)* jego!

ANNA *(zastania oczy)*. A!...

(milczenie).

ANNA *(po chwili do Kazimierza)*. Odchodzę do twojej siostry — ty — spójrz jemu w oczy i powtórz raz jeszcze te słowa — jeśli... będziesz mógł.

(wychodzi na prawo).

BOGDAŃSKI. Co się stało! Anna tak pobladła — oczy miała łez pełne... dlaczego kazała ci patrzeć mi w oczy?

KAZIMIERZ *(po chwili wybucha nerwowym płaczem i pada na krzesło koło stołu)* Oh! ja oszaleję!..

BOGDAŃSKI *(siada przy nim)*. Hm! hm! źle z tobą, źle bardzo. *(Po chwili)* Dlaczego ty się chcesz wyprowadzić? Czy chcesz uciec od Anny? czy chcesz mieć więcej swobody? czy...

KAZIMIERZ. Wszystko — wszystko razem. Dużę się tu poprostu — ciągle spotykam się z waszymi wyrzutami. — O! jeśli nie słownemi, to w wzroku waszym czytam nieme wymówki za to, co wy nazywacie zdradą lub odstępstwem. Wy pozostaliście wierni dawnym przekonaniom — rozwijacie je w sobie, działacie —

i w głębi dusz waszych macie dla mnie litość, tak litość... a kto wie, może pogardę za to, że mnie więzienie złamało i uczyniło prostym filistrem na dorobku... niczem więcej.

BOGDAŃSKI. Mylisz się, mój drogi. My przede wszystkim cenimy wolność przekonañ.

KAZIMIERZ. Tak się to mówi! Wy darować mi nie możecie, że... że otrzeźwiałem, że chcę żyć, jak inni, bez przygniatającego mnie ciężaru owej uspołeczniającej pracy. I ty i Anna, wszyscy jesteście przeciw mnie i dlatego nic dziwnego, że uciekam od was do knajpy, do...

BOGDAŃSKI (*cicho*). Do Józi.

KAZIMIERZ. Tak — do niej, bo w jej głupich oczach oprócz cielecego zachwytu nad darowaną jej broszką nie widzę nic.

BOGDAŃSKI. I to ci wystarcza?

KAZIMIERZ. To musi mnie wystarczyć! Ja nie mogę żądać innych porywów... (*gwałtownie*) nie wolno mi, nie wolno... Ty wiesz... ja wychodząc z cytadeli dałem jemu słowo honoru, że się więcej niczem zajmować nie będę... Czego wy chcecie odemnie? czego?

BOGDAŃSKI. Powiedz Annie o tem słowie, które cię z władzą wiąże. Ona wtedy zrozumie, ona znajdzie w niem usprawiedliwienie dla twego postępowania.

KAZIMIERZ. Nie! Wam jednym mogłem, a nawet powinienem był powiedzieć, na jakich warun-

kach wypuszczono mnie na wolność. Wy — chłodniejszym rozumem obdarzeni, zrozumie-
liście mnie i rozgrzeszyli — ona kobieta egzal-
towana i marzycielka nie pojmie nigdy. Potępi
mnie bez wahania.

BOGDAŃSKI. Nie znając prawdy, potępić cię
będzie nie mniej, choć powoli.

KAZIMIERZ. Wolę to i dlatego pragnę jej zejść
z oczu.

BOGDAŃSKI (*wzruszony*). Na zawsze?

KAZIMIERZ. Nie — na czas jakiś. Ja czuję, że
ona w tej chwili działa, pracuje dla sprawy,
i w ten sposób ma do mnie żal jeszcze większy...
podwójny... Gdy się uspokoi — gdy się uspo-
koicie, ja do was wrócę. Przytem — jeszcze
mnie coś stąd wypędza... ty wiesz...

BOGDAŃSKI (*cicho*). Czy — znów?

KAZIMIERZ. Nie — dziś rano nie było nic — ale
jestem przekonany, że wieczorna poczta przy-
niesie mi nową przesyłkę. Zdaje mi się, że
jakiś demon snuje koło mnie sieć swoją. Chwi-
lami myślę, że to może ktoś z dawnych mych
towarzyszy, chcąc zemścić się za moje... od-
stępstwo, pragnie przerazić mnie.

BOGDAŃSKI. Szalony. Byłby to żart nadto nie-
bezpieczny i straszny. Poczta przesyłać po-
dobne dokumenta...

KAZIMIERZ. Tembardziej, że są to dokumenta
szpiegowskie, zdradliwe na korzyść Prus!

W głowie mi się miesza. Sądzę, że gdy zmienię mieszkanie...

BOGDAŃSKI. To dziecinna myśl — to nic nie pomoże.

KAZIMIERZ. Więc co czynić?

SCENA ÓSMA.

Ciż sami — Anna — Marta — potem Zosia — Marya Elsen.

(słysząc dzwonek).

(Marta biegnie do przedpokoju, otwiera drzwi, za nią Anna wchodzi do pokoju).

MARTA *(w przedpokoju)*. No! nareszcie... już ósma...
Dlaczego tak późno?

MARYA I ZOSIA. Dobry wieczór! nie mogłyśmy przyjść wcześniej.

ANNA *(przechodząc koło Kazimierza)*. Nie wstydzisz się twoich słów? *(Kazimierz w milczeniu bierze jej rękę i przykłada sobie do czoła).*

BOGDAŃSKI. Bądź pani dla niego pobłażliwą; jego dusza jest bardzo chora.

(Panienki wchodzą do pokoju i witają się z mężczyznami i z Anną).

ZOSIA. Zimno mi — nie wzięłam futra i cała się trzęsę.

MARTA. Zbliź się do pieca — czekaj! dam ci moją chustkę orenburską. Ciepło ci w niej będzie, jak w puchu.

MARYA (*do Anny*). Co dziś czytać będziemy?

ANNA. Pan Bogdański wybrał „Oblubienicę morza“ Ibsena.

MARYA. Ach! to historia tej kobiety, która całe swe życie marzyła i była nieszczęśliwą.

ANNA. Dlaczego mówisz, że była nieszczęśliwą? Może właśnie, żyjąc w świecie złudzeń, znalazła szczęście, którego na ziemi nie miała.

(*dzwonek*).

MARTA (*gwałtownie*). Pan Maryan!!!

(*Wszyscy się śmieją*).

Maryan i Józef wchodzi do przedpokoju.

MARTA. Chodźcie — chodźcie marudery — przeczytamy choć jeden akt przed herbatą.

MARYAN. Spóźniliśmy się, bo dałem swoje buty do podzelowania, a nie mając drugiej pary, nie mogłem na bosaka przylecieć do was.

BOGDAŃSKI. A cóż na to twój papa milioner?

MARYAN. Nie wie nic o tym fatalnym domowym wypadku. Pannie Marcie głębokie uszanowanie.

Anna (*witając Józefa*). Jak dobrze pan zrobiłeś, przychodząc dzisiaj do nas. Zebranie nasze zaraz się ożywi. Czytamy dziś Ibsena.

JÓZEF. Macie już dosyć Maeterlincka?

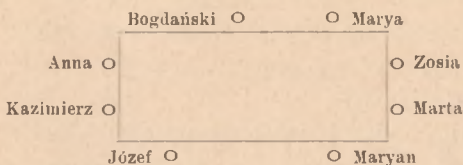
ANNA. Nie — ale nie mamy więcej przekładów pod ręką.

BOGDAŃSKI (*do Maryi*). Kiedy pani jedzie do Zurichu?

MARYA. Zdaje się, że nie pojedę wcale. Za dużo

tam panien na studyach za mąż wychodzi i ojciec mówi, że dla mnie nie potrzeba jechać tak daleko po to, aby się wydać za mąż.

(*Wszyscy powoli zajmują miejsca dookoła stołu. — Marta rozdaje broszury — dodatki do „Przeglądu tygodniowego“*).



SŁUŻĄCA (*wchodzi — siwa — stara*). Czy podać samowar?

ANNA. Nie teraz. Ja sama powiem Magdalenie, kiedy będzie trzeba.

SŁUŻĄCA. Dobrze, proszę pańienki (*wychodzi*).

BOGDAŃSKI (*czyta*). Oblubienica morza, dramat w pięciu aktach.

JÓZEF. Tytuł źle przetłómaczony.

MARYA. O proszę! tylko nie krytykujmy, bo nie dojdziemy nawet do pierwszej sceny.

JÓZEF. Więc według pani — oblubienica morza, to dobrze powiedziane?

BOGDAŃSKI. Cicho! (*czyta*) Osoby: doktor Wrangel — proszę cię Józefie — (*daje mu broszurkę*).

JÓZEF. Nie będę czytał Wrangla. Ja chcę czytać rolę nieznanego.

ZOSIA. Cóż to za duch sprzeciwieństwa!

MARYAN. Ja już dawno prosiłem o rolę obcego.

Będę mówił basem i przewracał oczy...

BOGDAŃSKI. W ten sposób nastroju nie wytworzycie.

MARYAN. Ale dobry humor — co panno Maciu? prawda? humor to grunt?

BOGDAŃSKI. Ellida Wrangel, jego żona. Kto?

KAZIMIERZ. To sama oblubienica morza — prawda?

BOGDAŃSKI. Tak.

KAZIMIERZ. Któż, jeżeli nie panna Anna!

MARYAN. Ależ naturalnie — nikt oprócz panny Anny roli tej czytać nie może.

WSZYSCY. Tak! tak!

BOGDAŃSKI. Boletta — Hilda — panna Zosia i panna Macia; Arnholm — ja; Lyngstrand — Maryan; Ballested — panna Marya.

MARYA. Cóż to? znów będę czytać rolę mężczyny?

BOGDAŃSKI. Musi się pani poświęcić. Obcy — Kazimierz.

KAZIMIERZ. Dziękuję — dajcie mi coś nie tak abstrakcyjnego...

BOGDAŃSKI. Zamień się ze mną. A teraz goście i młodzież z miasta...

MARTA. Poprosić małych Korbielów... będą grali młodzież z miasta...

BOGDAŃSKI. Uwaga! — czytamy: „Akt I. Dom dra Wrangla. Przed domem i dokoła ogród

Poniżej werandy wetknięte w ziemię drzewce od chorągwi. Na prawo w ogrodzie altanka ze stolikiem i stołkami...”

JOZEF. Nie wytrzymam — to ma być po polsku? Altanka ze stolikiem i stołkami? Słyszysz, Maryan?

ANNA. Niech pan się uspokoi.

BOGDAŃSKI (*czyta*). Ballested, mężczyzna w średnim wieku, odziany w starą kurtkę aksamitną.

MARYAN. To ja!

BOGDAŃSKI (*czyta*). ...I artystyczny kapelusz z szerokimi kresami — naciąga line. Boletta Wrangel.

MARTA. To ja!

BOGDAŃSKI (*czyta*). Wychodzi i niesie w wielkiej wazie kwiaty i stawia je na stole. Boletta... no! panno Marto!...

MARTA. Aha! zaraz... bo to pan Maryan... zaraz... Aha! (*czyta*). „Cóż panie Ballested — gładko idzie robota?”

MARYAN (*czyta*). Dziękuję — nieźle. Przecież nie pracuję nad czymś zbyt ważnem. Czy pani oczekuje dziś jakich odwiedzin?

MARTA (*czyta*). Tak, dziś przed południem ma do nas zawitać profesor Arnkolm. Przybył on tej nocy do miasta.

SCENA DZIEWIĄTA.

Ciż sami — pani Korbiel i Dziunia.

P. KORBIEL. Państwu nic nie potrzeba?

WSZYSCY. Ależ nic, nic.

P. KORBIEL. Chciałam się dowiedzieć — państwo daruje... *(cofa się)*.

MARYA *(czyta)*. Arnkolm? Za pozwoleniem — Arnkolm. Tak nazywał się nauczyciel...

P. KORBIEL *(wsuwa głowę)*. A lampa nie filuje? WSZYSCY. A!

P. KORBIEL. Bo — może lampa...

WSZYSCY. Nie — nie...

P. KORBIEL. Państwo daruje... *(znika wraz z Dziunią)*.

MARYA *(czyta)*. Ten nauczyciel, który bawił tu przed laty?

MARTA *(j. w.)*. On właśnie.

MARYA *(czyta)*. Chcielibyśmy rozpiąć flagę, aby uświetnić jego przybycie. Czy mogę liczyć na pańską pomoc?

(Służąca wchodzi).

ANNA. Czego ty chcesz znowu?

SŁUŻĄCA. Briftreger przyniósł list do pana Kazimierza.

KAZIMIERZ *(zrywa się)*. O!

BOGDAŃSKI. List? no to niech go odda.

(W przedpokoju ukazuje się listonosz i oddaje list służącej — ona go niesie Kazimierzowi).

ANNA (*do Bogdańskiego*). Patrz pan, jak Kazimierz pobladł.

BOGDAŃSKI. Zdaje się pani (*daje służącej drobne*)
Daj briftregerowi na piwo...

SŁUŻĄCA. Dobrze. (*do briftregera*). Przejdźcie
przez kuchnię, to wam będzie bliżej.

(*Wychodzą*).

MARTA (*przez ten czas śmiała się i dokazywała z Maryanem*). Ja panu mówię, że gdybym pana
wzięła na egzamin, to pokazałoby się... kto
z nas inteligentniejszy.

JOZEF (*szybko do Kazimierza*). Czy znów?

KAZIMIERZ. Tak!

(*Rozrywa kopertę — wydobywa pod stołem, ale tak, że publiczność widzi cieniutki arkusik papieru i machinalnie skręca go w gałkę*).

MARYAN (*przez ramię do Józefa*). Powiedz mu,
ażeby natychmiast spalił.

JOZEF (*do Kazimierza*). Spal!

KAZIMIERZ (*jak błędny*). Tak! tak! zaraz trzeba...

MARYA. A więc czytamy dalej (*czyta*). Wszak
pani widzi, że już wszystko w porządku...
(*mówi*). No — panie Bogdański, kolej na pana,
bo to informacje.

BOGDAŃSKI. A!... tak... przepraszam... nie uważałem — zaraz!

MARTA. Co się z wami stało? Pomieszani jesteście! co wam?

BOGDAŃSKI. Nic — nic! zaraz! (*czyta monotonym, cichym głosem*). Boletta wraca do pokoju. Wkrótce potem nadchodzi Lyngstrand drogą z prawej strony i staje zainteresowany widokiem stalugi i przyborów malarskich...

ANNA (*cicho do Kazimierza w trakcie czytania*).
Kazimierzu!

KAZIMIERZ (*drgnął*). Co? Czego?

ANNA. Co ci się stało? dlaczego tak pobladłeś?
o! nie przecz! — mnie oszukać nie możesz —
(*po chwili*). Ja się czegoś boję!

KAZIMIERZ (*wstaje*). Ja zaraz powrócę...

ANNA (*głośno*). Nie wychodź!... tam jest nieszczęście za progiem!

(*Dzwonek — wszyscy się zrywają — chwila milczenia*).

BOGDAŃSKI (*szybko*). Nie otwierać! Kazimierzu!
daj zapalek — świecę!...

(*Sługa biegnie do przedpokoju i otwiera drzwi. — W jednej chwili przedpokój wypełnia się żandarmami — Botkin — Agafonof*).

JOZEF. Zapóźno!

ANNA (*chwyta z ręki Kazimierza kulkę papieru i wsuwa ją sobie we włosy*). Daj!

SCENA DZIESIĄTA.

*Ciż sami. — Botkin — Agafonof — żandarmi —
później pani Korbiel i dzieci.*

BOTKIN (*wchodzi i kłania się — do żandarmów*).
Sprowadzić do tego pokoju wszystkie osoby,
przebywające w mieszkaniu! (*żandarmi wycho-
dzą — do służącej*). Proszę tu wejść. Niech nikt
z państwa nie rusza się z miejsca i proszę
nie rozmawiać pomiędzy sobą.

*(Milczenie, podczas którego wprowadzają żandarmi
p. Korbiel na wpół żywą i dwóch małych chłopców
w mundurkach).*

P. KORBIEL. Panie generale! to pomyłka! my
tu o niczem złem nie myślimy... my tu... Boże!...
(*placze*).

BOTKIN. Cicho! Niech pani będzie cicho! Śledztwo
wszystko wykaże... Tu był przed chwilą brif-
treger?

(Milczenie).

BOTKIN (*do p. Korbiel*). Ja się pani pytam: czy
był briftreger?

P. KORBIEL. Ja nie widziałam, panie generale.
Ja byłam z dziećmi... kładłam spać Dziunię...

BOTKIN. Zresztą — to niepotrzebne... My i tak
wiemy, że briftreger był. Do kogo list przy-
niósł? (*milczenie — do sługi*) Do kogo był list?

(Sługa milczy i płacze).

BOTKIN. I to niepotrzebne! — o! koperta!... —
Pan Kazimierz Wielhorski. — Gdzie list? —
pytam panów i pań, gdzie list? Ostrzegam, że
opór na nic się nie przyda. Listu spalić nie
mogliście... nie mieliście czasu — wreszcie nie
widzę spalonych zapalek, a świecy niema w po-
koju. O lampę zapalić trudno... (*milczenie*).
Raz ostatni pytam, gdzie list? (*milczenie — do
żandarmów*). Rewizya — papiery wszystkie
z pokojów tu poznosić na stół. Panów na-
zwiska?...

*(Każdy kolejno wymienia nazwisko. Botkin zapisuje,
przez ten czas żandarmi znoszą papiery, książki
i układają paczkami na stole — wiążą sznurami
i opatrują papierami z numerami).*

1. CHŁOPCZYK. Mamusi, to moje kajety i książki!
z czem ja pójde jutro do szkoły?

P. KORBIEL. Cicho! cicho! ci panowie wam od-
dadzą wasze książki.

BOTKIN (*pochylony nad Magdaleną*). Jak się na-
zywacie? jak?

SŁUGA (*zanosząc się od płaczu*). Magdalena Bobek.

BOTKIN. Panowie i panie, proszę nie utrudniać
mi położenia. Proszę dobrowolnie oddać ten
papier, bo będę musiał nakazać rewizyę oso-
bistą. To wielka nieprzyjemność, zwłaszcza dla
pań — niech się panowie zastanowią i unikną...
ja czekam (*milczenie — gniewnie*). Taki upór
to tylko dowodzi śmiesznej głupoty. Ten papier

się znajdzie, bo ktoś z państwa musi go mieć przy sobie! *(do żandarmów)*. Wy wsio osmiotrieli — wiezdie?

1. ŻANDARM. Tak toczno, wasze wysokobłagorodje.

BOTKIN. Wziat! wieszczy służanki!

1. ŻANDARM. Słuszajus wasze błagorodje.

KULTIAPKIN *(wynosi z pokoju Anny tłumoczek z książkami)*. Eto iz etoj komnaty.

BOTKIN. Położy w miestie.

1. ŻANDARM. Słuszajus wasze błagorodje.

BOTKIN. Więc panie i panowie nie chcą dobrowolnie wydać mi wiadomego papieru. Bardzo dobrze — prekrasno!... *(do Agafanowa)*. Liczno!

1. ŻANDARM. Wołosy?

BOTKIN. U żenszczyn — u mężczyzn karmany.

(Żandarmi rzucają się do mężczyzn, ale nie brutalizując, w milczeniu obszukują kieszenie — tymczasem inni wydobywają z kieszeni grzebienie i zaczynają kobietom zaczesywać włosy. Magdalenie rozsypują się na plecy rzadkie, siwe włosy — pani Korbiel ma cienkie warkoczyki. Anna opiera się chwilę. Botkin widząc to, zbliża się do niej i sam bierze grzebień w rękę).

BOTKIN. Pazwoltie — ja sam!

ANNA. Ja nie chcę!

BOTKIN *(do żandarmów)*. Dierży ruki!

(Żandarmi przytrzymują ręce Anny).

KAZIMIERZ. Anno!

BOTKIN (do Agafanowa). Dzierży jowo!

(Z włosów Anny wypada kulka papieru).

BOTKIN. Wot, naszłoś... prekrasno! Nienužno bolsze... pardons... A teraz państwo wszyscy za mną... dzieci zostaną.

P. KORBIEL. Ja dzieci nie zostawię... one małe, panie generale — ja nic nie winna! — dzieci bezemnie zginą...

BOTKIN. Nic im nie będzie. — My o nich pomyślimy (rozkłada papier i mówi do siebie). No! no! jeszcze plany... kakije chytryje, a małodienkije wsie... (głośno). No! skareje rebiata! skareje! skareje!...

(Żandarmi wnoszą ubrania z przedpokoju, ubierają kobiety, które mają rozpuszczone włosy).

SŁUŻĄCA. I ja mam iść? O Jezu, a gdzie mnie panowie wlokom? Panowie mnie powieszom!...

(Dzieci płaczą).

P. KORBIEL (z płaczem). Panie generale! zlituj się! ja matka! ja nie mogę... może i u ciebie są dzieci!...

(Żandarmi wolno wyprowadzają wszystkich. Anna wysiłkiem wyrywa się i biegnie do Kazimierza, którego chwytą za rękę i mówi doń gorączkowo, cicho).

ANNA. Daruj! przebac! sądziłam cię niesłusznie! Tyś pracował dla sprawy... dzięki ci... (całuje go w rękę).

BOTKIN. Ważmitie jego procz!

(Żandarmi uprowadzają Annę i wszystkich).

BOTKIN. Gdzie Kultiapkin? *(stary żandarm wychodzi na środek i staje w pozycji służbowej).*

Ty żenat?

KULTIAPKIN. Tak toczno, wasze wysokobłagorodje.

BOTKIN. U ciebia ditja jest?

KULTIAPIN. Tak toczno wasze błagorodje — wot — toże takije malczyki — w kostromskoj gubernij...

BOTKIN. Prekrasno! *(do p. Korbiel).* Ten żandarm zostanie się przy dzieciach — on im rano da jeść i w południe także. On żonaty. *(do żandarma)* Wot tobie diengi na kuszanje dla rebiat...

P. KORBIEL. Ja nie pójdę! ja nie pójdę!

BOTKIN *(ostro tupiąc nogą).* Ważmitie jejo siejczas!...

(Żandarmi siłą wyprowadzają panią Korbiel).

SCENA JEDENASTA.

(Dzieci i Kultiapkin. — Dzieci płaczą. — Kultiapkin się po trochu do nich przybliża.)

KULTIAPKIN. No cztoż... panicze płaczą? za masaszą? a wot i mała panienka płacze? Mamasza powróci!... jutro wróci... Niech się panicze mnie nie boją... u mnie także diety

jest... w kostromskoj gubernij... jam wam jutro pirog upiekę — jej Bohu... z kapustą, albo z warenjem, z czem wola... potom pajdiom gulat. — U mienja toże ditja płakały, kak mnie wziali w sołdaty.

DZIEWCZYŃKA. Ja chcę do mamy!

KULTIAPKIN. No cztoż diełat? — pajdiom spat! — ha?

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

Scena przedstawia salę audyencyjonalną u generała Horna. W głębi duże okna — w rogach konsolki z kandelabrami — dokoła krzeselka. Z lewej drugi plan główne wyjście — przy niem żandarm w pełnym uniformie. Drugi plan, lewo, wejście do pokojów Horna — po prawej drzwi zamknięte, poza nimi słyszać ciągły śmiech, gwar kilku głosów kobiecych, piskliwych, mówiących po rosyjsku i od czasu do czasu fortepian grający jakąś dość skoczną melodyę. Słyszać również brzęk srebra i szkła.

SCENA PIERWSZA.

Cztery kobiety, czarno ubrane. — Dyżurny żandarm. (Długa chwila milczenia; słyszać grę na fortepianie, rozmowę — wreszcie 1. kobieta, czarno ubrana, podnosi się i idzie do żandarma).

1. KOBIETA. Przepraszam pana, czy pan generał prędko nas przyjmie?

ŻANDARM. Siej czas.

(Kobieta siada — milczenie).

BOTKIN (*przechodząc przez scenę w mundurze żandarma — kobiety wstają — do kobiet*). Pażałusta! — nie bezpakojties!

1. KOBIETA (*do drugiej*). To nie generał.

BOTKIN (*do żandarma*). Generał adiu?

ŻANDARM. Niet nasza błahorodje — tam gaspaddin prezident warszawskich tieatrow.

BOTKIN. Pałkownik Korniołof zdieś?

ŻANDARM. Da wasze wysokobłahorodje — oni izwolili idti na beletaż.

(*Botkin idzie do okna, wyjmując z poza rękawa papier i czyta — pauza*).

2. KOBIETA (*wstaje i idzie do żandarma*). Przepraszam pana, czy my długo będziemy czekać? Pan generał prędko wyjdzie?

ŻANDARM. Siej czas.

2. KOBIETA. Dziękuję panu (*siada*).

(*Drzwi otwierają się szybko i wchodzi Korniołof w sztabowym mundurze jako urzędnik do szczególnych poruczeń przy generale Hornie. — Kobiety wstają, on uprzejmie kłania się im i podchodzi do Botkina*).

1. KOBIETA. To nie generał.

SCENA DRUGA.

KORNIŁOF (*do Botkina*). Dzień dobry — masz pan to, o co prosiłem?

BOTKIN. Tak. Trudno mi było wydostać, ale oto ów papier.

KORNIŁOF (*chowa papier w rękaw*). Dziękuję.
Byłeś pan dziś w cytadeli?

BOTKIN. Byłem. Panna Lasocka ma się lepiej,
tylko ta pani Korbiel aż zachorowała z tęsknoty
za dziećmi.

KORNIŁOF. To zwykłe — zwykłe — dać walerjanu. Nerwy — zresztą zrozumiałe. A inni?

BOTKIN. Wielhorski przeczy wszystkiemu — inni
milczą — a panny przeważnie płaczą.

KORNIŁOF. Bromu i walerjanu. Jedzą?

BOTKIN. Młode — więc jedzą. Tylko sługa mō-
dli się i nic jeść nie chce.

KORNIŁOF. Nie przymuszać... nie przymuszać —
głód sam zmusi. Ale — tę Lasocką strzedz
najbardziej. Żadnej komunikacji. Wczoraj sor-
towałem ich papiery. Czy ta dziewczyna z re-
stauracyi dziś tutaj przyjdzie?

BOTKIN. Siedzi w kurytarzu.

KORNIŁOF. Dobrze... (*wyjmuje papier z rękawa*).
Czy to list prywatny Strełkofa?

BOTKIN. Tak! właśnie list pisany do tej panny
Józi!

KORNIŁOF (*czyta*). Droga moja myszko! Ja ko-
cham cię, jak szalony i zabiję cię, siebie
i tego, który śmie za tobą chodzić. Ja... (*mówi*)
dobrze!...

BOTKIN. Ośmielę się jednak zwrócić uwagę, że
ten list chyba nie ma nic wspólnego ze sprawą
Wielhorskiego...

KORNIŁOF. Pan jesteś jeszcze młody i niedoświadczony. Pan widzisz tylko powierzchownie — a ja widzę głębię rzeczy.

SCENA TRZECIA.

Ciż sami — Wielhorska, później Aktor.
(*Wielhorska biednie, czarno ubrana, wsuwa się nieśmiało i kłania się żandarmowi.*)

WIELHORSKA. Ja przepraszam pana, ale dziś podobno generała Horna można zobaczyć.

ŻANDARM. Sadtieś rjadom. — Generał siejczas budiet prinimat.

WIELHORSKA. Dziękuję panu! (*siada nieśmiało na krzeselku — wchodzi aktor.*)

KORNIŁOF. A... to pan Olszyński? co?

AKTOR. Panie pułkowniku... kara za paszport — sto pięćdziesiąt rubli — skąd wezmę — gaży w ogródku mam na lato 60! Ratuj dobrodzieju!

KORNIŁOF. Tu nie pasportnoje otdielenje.

AKTOR. Ja wiem, ale gdyby pan pułkownik zechciał...

(*Rozmawiają po cichu. Przez scenę przechodzi Prezes teatrów w generalskim mundurze i kieruje się ku wyjściu.*)

KORNIŁOF (*zwraca się do prezesa*). Zdrastwujtie Walentin Walentinowicz.

PREZES. Zdrastwujcie... a! ja zabył... Wot sie-
wodnia żur fix u generałszy; zajdu na minu-
toczku. (*Idzie ku drzwiom, za któremi słyszeć
śmiechy i muzykę i wchodzi powitany okrzykami:
zdrastwujcie — wot i on!*).

(*Aktor kłania się unizenie i wychodzi*).

KORNIŁOF (*do Botkina*). Zejdź pan jeszcze na
dół i pilnuj, aby ta dziewczyna stąd nie ode-
szła. Chcę koniecznie, aby generał dziś ją
przesłuchał.

BOTKIN. Generał dziś w złym humorze.

KORNIŁOF. Nie mogę na to uważać. Tam w cy-
tadeli dziewięć osób czeka — należy o tem
pamiętać.

(*Botkin wychodzi*).

KORNIŁOF (*przypatrując się Wielhorskiej*). Ot!
i jego matka! (*podchodzi do niej*). Przepraszam,
pani pozwoli na chwilkę.

WIELHORSKA. Idę, proszę pana (*podchodzi na
przód sceny*).

KORNIŁOF. Pani Wielhorska?

WIELHORSKA. Tak... ja dziś przyjechałam z Wło-
cławka... Panie, panie... mój syn... on nic nie
winien... moja córka... i ona niewinna... (*dławi
się łzami*).

KORNIŁOF. Jeśli niewinni, to się przekonamy.
Proszę pani usiąść tu osobno i czekać na
generała... Poznałem panią, choć od przeszłego

roku pani się bardzo zmieniła... Niech się pani uspokoi... Pani się nic nie stanie...

WIELHORSKA. Ja nie o siebie... ja o dzieci... czy one zdrowe? czy... żyją?

KORNIŁOF. Dzieci pani zdrowe. (*Odchodzi do pokoju Horna*).

(*Milczenie, tylko słyszeć znów muzykę, śpiewy i śmiechy, głos kobiecy nuci „Razdzieli sa mnoj ty dolju“*).

1. KOBIETA (*do drugiej*). Pani dawno tu czeka?

2. KOBIETA. Półtóry godziny.

1. KOBIETA. A ja przeszło dwie godziny.

2. KOBIETA. Panie mają kogo... tam?

1. KOBIETA. Tak! ja mam córkę — wróciła z zagranicy — tam się w coś zamieszała... wzięli.. ja tu już ósmy raz.

2. KOBIETA. O pozwolenie zobaczenia się z nią?

1. KOBIETA. Tak! zimno już — chciałabym jej dać trochę ciepłego ubrania.

2. KOBIETA. Ja mam tam już drugi rok syna... ale przyjeżdżam rzadko, bo mieszkam aż za Kaliszem.

3. KOBIETA (*młoda*). Ja przyszedłam pierwszy raz, chcę prosić za moim bratem, którego wydalili z górniczej szkoły w Dąbrowie... Ja nie wiem, czy ja zdołam przemówić słowo... ja się tak boję...

Cicho — prawie szeptem.

1. KOBIEȚA. Pan generał grzeczny człowiek... tylko...

2. KOBIEȚA. Och Boże! Boże! Tam przeszłego roku jedna panna popodrzynała sobie żyły kawałkiem szkła... (*zakrywa oczy i płacze*).

1. KOBIEȚA. Tak, ja to słyszałam!

2. KOBIEȚA. Ja nie mogę spać w nocy — ja ciągle o tem myślę...

1. KOBIEȚA. Bóg będzie czuwał. Nie dopuści...

2. KOBIEȚA. Och moja pani! moja pani!

(*Drzwi się otwierają, staje w nich generał Horn — za nim Korniołof i dyżurny drugi żandarm. — Kobiety wstają*).

SCENA CZWARTA.

Ciż sami — Horn — Korniołof. (Horn podchodzi do każdej z kobiet, słysząc, jak półgłosem pyta: „Czto wam ugodno?...“ — Kobieta cicho odpowiada: „Ja, panie generale o pozwolenie“... i t. d. Czwarta i trzecia podają papiery — on je oddaje dyżurnemu żandarmowi. W trakcie tego Korniołof podchodzi do Wielhorskiej).

KORNIŁOF. Ja uprzedziłem pana generała o pani przybyciu. Pan generał dziś jest rozdrażniony i bardzo na pani syna rozgniewany. Niech pani nie płacze przed nim, bo go to rozdrażni jeszcze więcej.

WIELHORSKA. Postaram się panie pułkowniku.

KORNIŁOF. Niech pani tak manewruje, żeby się pani pozostała ostatnia.

WIELHORSKA. Postaram się panie pułkowniku.

4. KOBIETA (*powoli, głos cokolwiek podnosząc*).

Oni mi dziecko maltretują w szkołach, panie generale... ono robi, co może... uczy się, ja świadkiem — i ciągle złe stopnie...

HORN. Cóż pani chce, żebym jej na to poradził.

Niech pani się uda do szkolnej władzy...

4. KOBIETA. Ja tu wołałam przyjść, bo pan generał jak zechce... to...

(*zaczyna płakać*).

WIELHORSKA (*do Kornułowa*). Czy nie mogłabym moje dzieci zobaczyć?

KORNIŁOF. Teraz są pod śledztwem — niepodobna...

HORN (*do drugiej kobiety*). Ja nie mogę tak często pozwalać na widywanie się. Pani ciągle tam chodzi.

2. KOBIETA. Panie generale... ubranie...

HORN. Niemożliwe, niemożliwe... a pani? (*podchodzi do trzeciej*).

3. KOBIETA. Ja o brata... uczeń z Dąbrowy.

HORN. A... żeby przyjąć napowrót? Nu, ładno — uwidim, jakie będzie zdanie dyrektora szkoły.

3. KOBIETA. Dyrektor się godzi. — Powiedział, że to od pana generała...

HORN. Dobrze! dobrze! (*podsuwa się naprzód*

sceny ku Wielhorskiej, inne kobiety powoli wychodzą — do Wielhorskiej). A wy madame?

WIELHORSKA. Panie generale... ja w sprawie mojego syna i córki... Ja byłam tu już w przeszłym roku... Pan generał mnie nie poznał?... Wielhorska.

HORN (*z pasyą*). Ach! eto wy mat etawo — ostan-ties! (*do żandarma*) Idź skażi baryszni, szto by nie pieła... i zakroj dwieri.

(*Żandarm idzie ku drzwiom generałowej — śpiew ustaje — żandarm zamyka drzwi na klucz i zapuszcza ciężką portyere, poczem wychodzi — pozostaje Horn — Wielhorska i w głębi w oknie Kor-niłow, udający, że patrzy na ulicę*).

HORN (*chodzi po pokoju chwilę — wreszcie wybucha*). Jak on śmiał! Jak on śmiał! (*milczenie*). Pani wiesz, co pani syn zrobił?

WIELHORSKA. Nie, panie generale.

HORN. Pani syn zrobił podłość — podłość! Czy pani to słyszy?

WIELHORSKA (*po chwili wahania*). Mój syn mógł zbłądzić — ale nie popełnił podłości.

HORN (*wściekły*). Jak pani śmie zaprzeczać? Ja wiem, co mówię. Podłość! Pani jesteś taka sama, jak twój syn... Pani się buntujesz, pani mnie zaprzeczasz... a jak się pani dowie, to pani włosy do reszty zbieleją ze wstydu...

WIELHORSKA. Z bólu — nie ze wstydu, panie generale!

HORN. Pani syn złamał słowo honoru... (*milczenie*).

Pani słyszy? on złamał słowo! Pan pułkownik Korniołof wypuścił go przeszłego roku z cytadeli jedynie na mocy słowa, jakie dał mu syn pani, że w nic więcej się mieszać nie będzie.

WIELHORSKA (*cicho*). Wiem o tem.

HORN. Pułkownik Korniołof zrobił to na swoją odpowiedzialność i ręczył mi za pani syna.

WIELHORSKA. My byliśmy bardzo wdzięczni panu pułkownikowi.

HORN. Ładnieście objawili tę wdzięczność.

WIELHORSKA. Panie generale, to okoliczności musiały się tak złożyć, że mój syn nie mógł dotrzymać danego słowa.

HORN. Tak... wy wszyscy się lubicie zasłaniać okolicznościami. On niewinien! okoliczności winne... A tymczasem karę odcierpieć musi on. I w taką hańbę, w taki brud wdał się pani syn, że aż dusza się wzdryga pomyśleć! (*do Korniołofa*). Opowiedz pani, o co chodzi. Ja mówić o tem nie mogę spokojnie.

KORNIŁOF. My już od miesiąca dostawali listy, że syn pani zdejmuje plany i donosi o tajnej mobilizacyi wojsk na wypadek wojny.

HORN (*który chodził po pokoju — nagle*). Czemo wy prjamo nie skażetie? (*do Wielhorskiej*) Nas listy bezimienne ostrzegły, że pani syn — to prosty szpieg.

WIELHORSKA (*z krzykiem*). Kłamstwo!

HORN. Co to? jak pani śmiesz?

WIELHORSKA. Kłamstwo... mój syn mógł się dopuścić wszystkiego: spisku, buntów, propagandy, czy jak tam wy to nazywacie, ale on szpiegiem być nie mógł... to nieprawda! to nieprawda. Pan Bóg świadkiem, że to nieprawda!

HORN. Są dowody. Aresztowaliśmy go w chwili, gdy pocztą nadesłano mu plan nowo-gieorgiewskiej fortecy. Dowód mamy w rękach, choć ukryty był we włosach panny Lasockiej. Rano zawiadomiono nas, że syn pani wieczorem odbierze taką przesyłkę. Myśmy czuwali. (*milczenie*). I cóż? teraz już pani nie krzyczysz, że kłamię? nie przeczysz? ha?

WIELHORSKA. Ale nie mniej w głębi duszy w to, co mówię — wierzę.

HORN. Pani syn był szpiegiem prawdopodobnie płatnym...

WIELHORSKA. Oh!

HORN. I dobrze płatnym.

WIELHORSKA. Panie generale — zastanów się pan sam! Mój syn zapracowywał się — dawał korepetycje, robił korekty w jakimś piśmie. Utrzymanie mojej córki, choć jeszcze dziecka, kosztowało trochę — chcieliśmy ją wykształcić jako tako, ażeby sama zarabiała na siebie cokolwiek. Ja tam we Włocławku bardzo, bardzo biednie żyję... robię kwiaty — ale dobrze nie

umiem i oczy mam słabe... Skądże więc te pieniądze? — pomyśl pan, — my biedni...

HORN. To do mnie nie należy. Niemcy swoim agentom dobrze płacą.

WIELHORSKA (*nagle*). Niemcy? to dla Niemców? Ależ mój syn nienawidzi jeszcze więcej Niemców, niż was! (*chwila milczenia*). Przepraszam, panie generale.

HORN. Pani nam i sobie możesz oddać dużą przysługę. Pani się musisz zobaczyć z synem i... namówić go, aby nam powiedział, skąd brał plany, kto mu je przysyłał... On musi mieć współników — to nie ulega kwestyi. Jeżeli pani potrafi go skłonić, żeby nam wszystko powiedział, kto wie?... może... (*milczenie*). Pani milczy?

WIELHORSKA. Za ciężki pan generał kładzie na mnie obowiązek.

HORN. Dlaczego? Pani matka, potrafi do niego przemówić, popłakać, poprosić. Trzeba mu wiedzieć, że pani się zostanie sama jedna, że pani będzie ciężko, że pani źle już widzi... tak trzeba gadać, żeby coś z niego wydobyć... A zresztą to już pani rzecz. Umiecie dzieci swoje namawiać do złego, potraficie teraz je wyratować... Niech się syn pani przyzna, a... my... już mu to jako folgę policzymy... może — ja sam nic nie obiecuję... Słyszysz pani?

WIELHORSKA (*cicho*). Słyszę.

HORN. Ja dam rozporządzenie, żeby zaraz panią powiedli do cytadeli — do syna — pułkownik Korniłof będzie obecny przy rozmowie. Niech pani pamięta, że syna pani, a może i córkę czeka Syberya, a jakby pani chciała pojechać za niemi, to na nic, bo oni i tam będą w zamknięciu... Skończyłem!

KORNIŁOF (*do Horna*). Ja mam jeszcze dwa słowa powiedzieć panu generałowi.

HORN (*opryskliwie*). W czem sprawa?

KORNIŁOF. Chciałem kogoś przesłuchać wobec pana generała.

HORN. Czasu nie mam.

KORNIŁOF (*z naciskiem, ale silnie*). Pan generał czas mieć musi. To właśnie w... tej (*wskazuje na Wielhorską*) sprawie.

HORN. Proszę odprowadzić panią na dół i proszę się wrócić tu na górę. Tylko prędko (*do Wielhorskiej*) Pani może teraz dużo — niech pani nie waryuje — nie wmawia w siebie, że pani obowiązek to i to... Niech pani tylko zrobi, co obowiązek matki każe.

(*Wielhorska się kłania i nagle wybucha cichym, stłumionym płaczem*).

WIELHORSKA. Przepraszam... żegnaj pana generała.

HORN. Pani mi jeszcze nic nie przyrzekła... pani mi nic nie obiecała...

WIELHORSKA. Ja nic... ja nic nie mogę — ja przepraszam pana generała.

(Łkając cicho, wychodzi — za nią Korniołof).

SCENA PIĄTA.

(Horn sam — później Korniołof. Horn chodzi po sali zamyślony — na fortepianie w przyległym pokoju grają „Razdieli sa mnoj ty dolju“. Horn siada na fotelu i mówi kilkakrotnie do siebie: „da! da!“ potem zaczyna w zamyśleniu gwizdać melodye. —

Ściemnia się. — Korniołof wchodzi).

HORN (budzi się z zamyślenia). To wy, Piotrze Pawłowiczu?

KORNIŁOF. Ja.

HORN (siedzi). Co mi macie do powiedzenia? Mówcie prędko — mnie strasznie newralgia dokucza. Cóż? He?

KORNIŁOF. Ja panie generale powiem panu krótko moje zdanie w sprawie Wielhorskiego. Ja rękę w ogień włożę, że on i ci wszyscy ludzie są niewinni.

HORN (zrywając się). Wyście z rozumu zeszli Piotrze Pawłowiczu. Dowód jest na miejscu... złapany... czegoż więcej trzeba?

KORNIŁOF. To dowód materyalny, ale nie moralny.

HORN (z gniewem). Wy Piotrze Pawłowiczu chcecie być zawsze mądrzejszym odemnie, od wszy-

stkich, od całej żandarmeryi. Wy powinni byli w filozofy pójść, a nie w żandarmy... Cóż? papieru z planem niema? co?

KORNIŁOF. Jest.

HORN. A nie do niego przyszedł?

KORNIŁOF. Tak.

HORN. Nu i co jeszcze?

KORNIŁOF. Ale ten papier z planem mógł przyjść pocztą tak samo do mnie, jak do Wielhorskiego, tak samo do pana generała. Papier cierpliwy — on pójdzie tam, gdzie go pošlą...

HORN. Wy głupstwa gadacie. Przyciśnijcie tylko tego Wielhorskiego, a on się do wszystkiego przyzna. Tak jest zawsze... oni się najczęściej przyznają.

KORNIŁOF. Można się przyznać, a winy nie popełnić...

HORN. Co? jak? Pan się ośmielasz krytykować i rzucać mi w twarz zarzut, że ja niewinnych skazuję?

KORNIŁOF. Panie generale — tylko Bóg jest nieomylny.

HORN (*wściekły*). Ja także mogę być nieomylny... ja muszę być nieomylny — moja władza na nieomylności musi być oparta, inaczej nie ma racyi bytu... (*chodzi po pokoju bardzo szybko*). A ty, Piotrze Pawłowiczu, chcesz mną kręcić i nad generałem żandarmów przewodzić? Ty chytra jesteś sztuka, Piotrze Pawłowiczu!...

Ty miałeś matkę Polkę, to ty masz swoje słabostki — ej ty! chytry!... Ot — urzędnik do szczególnych poruczeń... naszedł się... władca nad Hornem.

KORNIŁOF (*po chwili*). Ja kilka razy prosiłem, aby mnie uwolnić od tych obowiązków i przenieść na prowincję albo do Petersburga. Pan generał raczy sobie przypomnieć, że sam nie pozwolił oddalić się z Warszawy.

HORN. Bo się do pana przyzwyczaiłem — ale teraz...

KORNIŁOF. Ja mogę dziś ustąpić, panie generale!

HORN (*z oczyma przymkniętymi*). Piotrze Pawłowiczu!

KORNIŁOF. Słucham, panie generale.

HORN (*j. w.*). Ty mówisz, że oni niewinni.

KORNIŁOF. Ja nic nie mówię, panie generale.

HORN (*j. w.*). Hm! czort wie... Kogo to chciałeś w tej sprawie przesłuchać przy mnie?

KORNIŁOF. Oh!... dziewczynę z jednej restauracyi. Chciałem światłego sądu pana generała w tej sprawie. Przytem pan generał ma potęgę wzroku, której ja nie mam — a taka potęga działa bardzo w badaniu.

HORN (*zadowolony*). Tak! tak! ja wiem — ja mam rysi wzrok.

KORNIŁOF. Więc pan generał jest tego zdania, że należy przesłuchać tę kobietę?

HORN. Nu... tak...

KORNIŁOF. I pan generał każe mi być obecnym przy tem przesłuchaniu?

HORN. Możesz pan zostać.

KORNIŁOF. Choć namyśliwszy się — to wszystko zbyteczne. Wielhorski musi być winny, bo dowód jest...

HORN. Nu — tak co, że jest?

KORNIŁOF. To dowód, panie generale — to dowód!

HORN. Co z tego? to dowód materyalny, nie moralny.

KORNIŁOF (*z uśmiechem*). Z pana generała filozof — nie... żandarm.

HORN. Nu — ja już taki. U mnie w głowie tak... ja się nie przerobię... A pan mi się nie sprzeciwiaj. Ja umiem prowadzić śledztwa i wiem, co robić. Pan mnie nie ucz!... (*dzwoni*).

(*Dyżurny żandarm wchodzi*).

Przyprowadzić mi tę kobietę, co ją pan pułkownik zawezwał!

(*Żandarm wychodzi*).

(*Po chwili*). Pan ją zaczniesz badać... ja będę tylko pana pytaniami kierował. (*Siada*).

KORNIŁOF. Według życzenia pana generała.

SCENA SZÓSTA.

Korniłow — Horn — Józia i Matałkowska.

KORNIŁOF (*do Józii*). Proszę tutaj bliżej! (*do Matałkowskiej*). A pani tu po co?

MATAŁKOWSKA. Panie generale! panie pułkowniku... ja przyszłam, bo chciałam powiedzieć, że w mojej restauracyi nigdy się nic złego nie dzieje. Ja sama pilnuję — pan generał się może przekonać... ja bardzo się boję, żeby z tej awantury jeszcze mi restauracyi nie zamknięto...

HORN (*do Matałkowskiej*). Kto wy?

MATAŁKOWSKA. Julia Matałkowska, wdowa, panie generale, mąż mi umarł na wodną puchlinę i dzieci mam troje i restaurację nocną na Marszałkowskiej. Ja...

HORN. Aha... żeńska usługa...

MATAŁKOWSKA. Tak panie generale — bardzo porządna restauracya — mam kucharza i w politykę się nie mieszam. Dziewczyn usługujących mam cztery i taper u mnie gra, a nie żadna damska orkiestra. U mnie bardzo przyzwyczajenie i cicho — tylko jak panowie oficerowie przyjdą, to trochę hałasu — a tak... jak w kościele, panie generale — jak w kościele...

KORNIŁOF. Stań pani tam przy drzwiach i czekaj — może nam pani będzie potrzebna...

(Matałkowska dyga i cofa się w tył).

KORNIŁOF (*do Józi*). Panienka niech się nie boi, bo jej się tu nic złego nie stanie. Trzeba całą prawdę powiedzieć, nic nie zataić i nie kłamać!

MATAŁKOWSKA (*od drzwi*). Panie pułkowniku, ja za nią ręczę, jak za...

KORNIŁOF. Cicho! (*do Józi*). Panienka mi opowie, czy panienka ma kawalerów?

JÓZIA (*obrażona*). Ja jeżdżem uczciwa dziewczyna.

KORNIŁOF. Ależ tak, tak... my wiemy. Tylko panna Józia ładna panienka, to chyba niemożliwe, aby tam w restauracyi ktoś w pannie Józi się nie zakochał... (*Józia milczy — do Matałkowskiej*). Pani Matałkowska nam powie, kto za Józią latał?

MATAŁKOWSKA. Różne kawalery, bo dziewczyna zręczna, ale ja panie pułkowniku, dziewczyny moje trzymam ostro.

HORN (*ostro*). Małczy!

KORNIŁOF (*łagodnie*). Pani Matałkowska będzie cicho! — (*do Józi*). Ot i widzi panna Józia, że za panną Józią biegali.

JÓZIA. To tylko takie, co się żenić chcieli...

KORNIŁOF. To też to właśnie — ja się o tych pytam. Tam był jeden Polak, młody, ładny... panna Józia pamięta...

(*Józia milczy*).

On miał małe wąsiki... no... panna Józia go nie pamięta?

MATAŁKOWSKA (*ode drzwi*). No, Józka — ten, co pod oknem siadał, co zawsze pił angielską gorzką...

JOZIA (*do Matałkowskiej*). Ten, co pił angielską gorzką, to nie do mnie — to do Honorki...

MATAŁKOWSKA. Nie prawda — ten do Honorki pił oczyszczoną, albo smirnowkę. Panie generale — jak dzieci kocham, tak ona nie wie, co gada. (*do Józi*). Toż do Honorki był z komory, a oni smirnowki nie pijom.

JÓZIA. Moje goście pili albo francuską, albo przepalanę. Ino ruscy — smirnowkę.

KORNIŁOF. To właśnie doskonale panna Józia sobie przypomniała. Znaczy, że panna Józia miała gości i Polaków i Moskali. A którzy też więcej pannę Józję kochali?

JÓZIA. Żadne nie kochali, ino się chcieli żenić.

KORNIŁOF. To też ja pytam o tych, co się chcieli żenić. To i ruscy i polscy — no! no! mieli dobry gust. Trzeba było iść za którego.

JÓZIA. Kiedy (*kręci nosem*) oni mi nie byli do smaku.

KORNIŁOF. No, ten Polak, co pod oknem siadał, był ładny, młody i miał pozycę...

JOZIA. E! taka tam pozycya, żył z lekcyi — i ledwo tam na co mógł się zdobyć...

KORNIŁOF. Ten ruski był lepszy — o! lepszy.

JOZIA. E! proszę panów — choć to oficer, ale co za los...

HORN. To oficer chciał się z tobą żenić?

JÓZIA. Jak Bożę kocham!

HORN. Łżesz!

KORNIŁOF (*uspakajająco*). Ależ tak, tak panie generale — to możebne — panna Józia ładna, on był zakochany, zresztą on pewno listy do panny Józi pisał.

JÓZIA. A jakże — pisał...

KORNIŁOF. O — widzi pan generał — listy pisał. I w tych listach kłął się, że pannę Józię kocha i że tego, co mu stoi na drodze, zabije... prawda — no widzi pan generał — panna Józia nie kłamie, bo panna Józia to figlarka: pośmiała się trochę z tym, co korepetycyę dawał, a zaraz ten ruski oficer w zazdrość wpadał i groził...

JÓZIA. A tak było... pan Kazimierz mnie odprowadza — to zaraz tamten leci za nami i tylko słyszać, jak szpory o flizy dzwonią. Ja nieraz mówiłam panu Kazimierzowi, że będzie skandal, a pan Kazimierz w śmiech. Aż raz... (*urywa*).

KORNIŁOF. Ach tak — tak — wtedy już nad ranem.

JÓZIA. Nie — to było koło północy.

KORNIŁOF. Tak, tak, pomyliłem się... więc o północy.

JÓZIA. Wyszliśmy z panem Kazimierzem wcześniej z restauracyi, bo ja miałam tego dnia wychodne — nagle pan Strełkof łapie mnie

za rękę i krzyczy: — ty moja! ty moja! — Pan Kazimierz go odepchnął, a że pan Strełkof był pijany, więc się zatoczył — my wskoczyliśmy w dorożkę i pojechali.

KORNIŁOF. Tak, tak było. Ale potem Strełkof bardzo się na pana Kazimierza gniewał i odgrażał, prawda?

JOZIA. O Jezu! strasznie... pani Matałkowska to nawet słyszała. Mówił ciągle: — „on pojedzie daleko — ten twój Polak... a ja останuś... i ty budiesz moju żenój!“ Prawda, pani Matałkowska?

MATAŁKOWSKA. Sprawiedliwie, tak mówił. Na to mogę zaprzysiądz.

KORNIŁOF (*gniewnie*). My słowu panny Józi i pani Matałkowskiej wierzymy. A czy nie mówił Strełkof, gdzie to pan Kazimierz ma jechać?

JOZIA. Nie — tylko śmiał się i mówił: „jemu tam będzie ciepło... aż mu nos i uszy odmarzną“.

KORNIŁOF. No — a teraz panna Józia nam powie, czy ten list pisał pan Strełkof? (*wyjmuje list z rękawa i szybko go podaje Józi*).

JOZIA. Tak, to on na takim papierze pisuje. (*czyta list*).

KORNIŁOF. Bo pan generał mówi, że to nie może być, aby panna Józia dostawała takie miłosne listy od oficera...

JÓZIA. Żeby mnie tak szlag trafił, że to do mnie

pisane. O! wszędzie „myszka, kotik, prosionok“. — On mnie tak nazywał.. (*po chwili*). Ja te listy dawałam pani Matałkowskiej, bo u mnie matka do wszystkiego nos wściubia... (*do Matałkowskiej*). To pani list dała?

MATAŁKOWSKA. Ja? cóż znowu! jak Bożę kocham...

KORNIŁOF. Nie trzeba się gniewać za to, panno Józiu. Teraz już pan generał wie dobrze, że panna Józia nie kłamała i nie chwaliła się, mówiąc, że ci panowie chcieli się z nią żenić.

JOZIA. To jest ten pan oficer, bo ten pan Polak to właściwie jeszcze nie o ożenieniu nie mówił..

KORNIŁOF. Tak, tak! (*idzie do Horna*). Czy pan generał ma się jeszcze o coś zapytać?

HORN (*wzrusza ramionami*). Nie — i to, co powiedziały, nie ma żadnej wagi.

KORNIŁOF. Pan generał żartuje sobie ze mnie, a myśli co innego... Pan generał mnie chce wypróbować (*do kobiet grzecznie*). Mogą panie odejść.

MATAŁKOWSKA (*łękliwie*). Czy aby nie zamkną mi restauracyi?

KORNIŁOF (*j. w.*). To się zobaczy.

MATAŁKOWSKA. Panie pułkowniku, ja mam dzieci — ja...

KORNIŁOF. Proszę odejść... (*do Horna cicho*). Ja te kobiety kazałem za progiem aresztować,

HORN, Po co?

KORNIŁOF. Mogą ostrzedz — wszystko przepa-
dnie (*odprowadza kobiety do drzwi*). A! panna
Józia bałamutka, oficerów nam bałamuci... —
ej! ej! za ładne oczki, za ładne...

(*Otwiera drzwi — ukazują się schody jasno oświe-
tlone i 4 żandarmów, ustawionych rzędem*).

KORNIŁOF. Wziat eti żeńszczyny!

MATAŁKOWSKA. Jezus Marya!

(*Józia chce uciekać — żandarmi ją chwytają*).

KORNIŁOF. Cicho! ani krzyku! bo każę usta
pokneblować. Na dół z niemi — i czekać roz-
porządzenia. (*zamyka drzwi wchodowe i wraca*).

SCENA SIÓDMA.

(*Horn — Korniłof*).

KORNIŁOF. Teraz już pan generał wie nazwisko
tego, kto do nas listy pisał i kto plany Wiel-
horskiemu przysyłał.

HORN. Nie wiem.

KORNIŁOF. Toć jasne, jak słońce. Strełkof!

HORN (*zrywa się jak szalony*). Co? co? coś ty
powiedział?

KORNIŁOF (*śmiało patrząc Hornowi w oczy*). Po-
wiedziałem — porucznik konnej artylerji —
Strełkof.

HORN. Nasz? ruski? oficer? Ty się wściekłeś,
Piotrze Pawłowiczu! U ciebie dusza chora!
Ciebie do szpitala waryatów. Ty śmiesz rzucić

takie podejrzenia na ruskiego człowieka i oficera? Ty opluwasz nas wszystkich! Ty spotwarzasz matuszkę Rosyę... ty... (*wyczerpany pada na fotel*).

KORNIŁOF. Nikogo nie spotwarzam, tylko chcę wyświecić prawdę...

HORN. Gdyby nawet taka prawda była... to... (*urywa*).

KORNIŁOF. Zakryć ją? Nie, panie generale — ja do tego ręki nie przyłożę!

HORN. Ot, jaki szlachetny — pomnik mu Polaki postawią — pomnik razem z Kościuszką... — Ruskich będzie gubił, aby ich ocalić!... Wot gieroj!

KORNIŁOF (*podnosząc głos*). Panie generale — zostaw na boku Polaków, ruskich i plemienną nienawiść. My dwaj — ty i ja — my płatni urzędnicy w tym kraju — nic więcej. My tylko mamy spełnić swój urząd, nic więcej — spełnić urząd — bo za to nam pensyę płacą... (*po chwili*). Pan generał mi pozwoli zająć się aresztowaniem Strelkofa i zrobić rewizyę w jego mieszkaniu?

HORN (*gwałtownie*). Za nic na świecie!

KORNIŁOF. W takim razie ja się podam do dymisyi i później rozpocznę dochodzenie tej sprawy przez ministeryum spraw wewnętrznych. (*chwila milczenia*). Pan generał mi pozwoli aresztować Strelkofa?

HORN (*już nie tak gwałtownie*). To pan chcesz zgubić ruskiego dla Polaka?

KORNIŁOF. Dla mnie to ani ruski, ani Polak, ale dwóch ludzi, panie generale.

HORN. Skąd pan masz pewność? bo w tej sprawie należy mieć pewność. Pan wiesz — jeśli twoje podejrzenie niesłuszne, to my — żandarmerya odpowiadamy za twoją pomyłkę...

KORNIŁOF. Panie generale — ja trzecią noc nie śpię, ja z tych kartek (*wyjmuję z poza rękawa listy, kartki, weksle*), na których jest pismo Strełkofa, starałem się poznać prawdę. Ja ze szkłem powiększającym siedziałem nad niemi, równałem ciągle od zmierzchu do świtu... i panie generale — mnie boli samego — ruski oficer padlec — ale tak jest! przez dziewczkę chciał zgubić człowieka...

HORN (*chodzi po pokoju*). Oh! Piotrze Pawłowiczu!... straszny z ciebie człowiek.

KORNIŁOF. Więc pan generał daje mi „carte blanche“ w tej sprawie?

HORN (*stropiony*). Rób, co chcesz!... ja umyvam ręce.

KORNIŁOF. Dziękuję, panie generale.

HORN. Ale — ty pyszny jesteś, jak szatan, jak demon, Piotrze Pawłowiczu! Jeśli ty się pomylił, jeśli ty armię ruską zhańbił niewinnie, ty żyć nie możesz. Nasz korpus za ciebie odpowiadać nie może. Ty jeden — słyszysz, ty

jeden musisz w takim razie pomyłkę naprawić.
(*wyjmując z konsolki rewolwer*). Masz! jeśli Streł-
kof niewinny, to to dla ciebie!

KORNIŁOF (*po chwili — pasując się ze sobą,
wreszcie wyciąga rękę i bierze rewolwer*). Przyj-
muję, panie generale!

(*Kurtyna spada*).

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

Pokój do badań w cytadeli — wysoki, dość obszerny, okna zakratowane. Stół na środku pokryty zielonem suknem, za nim duży fotel skórzany z oparciem — kilka krzeseł — w głębi dwie wysokie szafy z przegródek złożone — pomiędzy niemi portret cara.

Lampa jedna pali się na stole i oświetla scenę.

SCENA PIERWSZA.

Korniłow — Botkin (wchodzą szybko w szynelach).

KORNIŁOF. Każ pan obudzić Wielhorskiego i Lasocką. Niech się ubiorą i przywieść ich tutaj.

BOTKIN. Lasocka chora.

KORNIŁOF. Nie umierająca. Spacer jej na zdrowie posłuży. Muszę ją dziś przesłuchać. Czy pan wiesz napewno, gdzie znajdziesz Strełkofa?

BOTKIN. Teraz będzie w cyrku. Nasz człowiek chodzi za nim według rozkazu pana pułkownika i teraz telefonowano mi z Marszałkowskiej, że Strełkof jest w cyrku.

KORNIŁOF. Idź-że pan i oddaj mu tę kartkę. Trzeba, ażebyś ustnie dopełnił, co tu jest napisane. Chodzi o to, ażeby Strełkof sądził, iż wołamy go na świadka w sprawie zajścia, jakie było pomiędzy nim a Wielhorskim w restauracyi u Matałkowskiej. Nie pozwalaj mu pan wstępować do domu pod żadnym pozorem. Postępuj z nim nadzwyczaj grzecznie i ogleďnie, ale nie dozwól mu się wymknąć. Przedewszystkiem niech się nie domyśli prawdy. Jeżeli trzeba, spój go porządnie w bufecie, w cyrku. Masz pan przy sobie pieniądze?

BOTKIN. Mam — nie wiele.

KORNIŁOF. To wystarczy. Strełkof pije samą wódkę... To nie drogo wyniesie. Nie pozwól mu również zajechać do Matałkowskiej, aby nie dowiedział się, że ona i Józia jeszcze nie wróciły. Najlepiej — niech będzie pijany.

BOTKIN. Dobrze, panie pułkowniku.

KORNIŁOF (*zatrzymując Botkina*). A jak się nam wszystko powiedzie, to już ja ciebie za sobą wysoko pociągnę. — Tylko zręcznie mój druhu! zręcznie!

BOTKIN. Postaram się, panie pułkowniku!

KORNIŁOF. A do rewizyi kogo wybrałeś?

BOTKIN. Siemipudowa, Streluszkę, Mordochlestowa.

KORNIŁOF. A, wystarczą. Chodzi o to, aby zabrali z mieszkania Strełkofa tylko wszystkie papiery.

BOTKIN. Postaram się, panie pułkowniku.

KORNIŁOF. Tak — to on znalazł u Lasockiej na piecu owe broszury... Idź pan!... I wracaj pomyślnie!

SCENA DRUGA.

Korniłow sam — później Anna Lasocka. (Korniłow idzie do szafy, wyjmując z pod klucza pakę broszur, związanych sznurkiem, listów — i niesie na stół. Późem idzie do drzwi, woła dyżurnego żandarma, mówi do niego coś po cichu. Gdy otwiera drzwi, widać wązki korytarz, oświetlony małym naftowym kinkietem i dwóch żandarmów, opartych o ścianę. Korniłow wraca na przód sceny i założywszy ręce, chodzi tam i napowrót po chodniku, przeciągniętym przez scenę. — Otwierają się drzwi — wyprowadzają żandarmi Annę, odzianą w czarną spodnicę, niemodne, długie palto watowane. Włosy ma luźno splecione w warkocze. Jest bardzo blada. Na nogach ma grube, filcowe pantofle).

KORNIŁOF (*kłania się jej bardzo grzecznie*). Przepraszam panią, że kazałem ją obudzić, ale pragnąłem z nią koniecznie pomówić... (*Anna milczy*). Pani podobno cierpiąca? Czy życzy pani sobie, aby przywołano lekarza? (*milczenie*) Ponieważ nie wolno pani jeszcze przyjmować przesyłek, kazałem dać pani palto, które nam pozostało po innej uwięzionej... jeszcze z roku

przeszłego... Widzę, że je pani ma na sobie i bardzo się z tego cieszę (*milczenie*). Pani, jak widzę, przyjęła system milczenia. Ale to już zużyty i nadużyty. To do niczego nie doprowadzi. Wam się zdaje, że w ten sposób wyrażacie nam swoją pogardę. To głupie... Ten system wprowadził Ludwik XVII, gdy był zamknięty w Temple. Ale on miał siedm lat, o ile mi się zdaje, a pani ma dwadzieścia trzy. Czasby nabrać rozumu! (*krótko*) Niech pani siada! (*idzie do stołu i bierze do ręki broszurkę*). To u pani znaleźli?

ANNA. U mnie.

KORNIŁOF. A! przemówiła pani nareszcie. To dobrze — to nam badanie uprości... Więc pani się do winy przyznaje?

ANNA. Jeśli to jest winą — przyznaję się do niej w zupełności.

KORNIŁOF. Ślicznie. Choć w tem okazuje pani zdrowy rozsądek. Więc pani — działała?... Proszę! Czy nie lepiej było zajmować się czemś innem?

(*Poruszenie Anny*).

No, ale trudno. Ja panią rozumiem... Pani młoda — ten i ów pięknie mówi, porwie, uniesie... Wielkie słowa: lud — poświęcenie — męczeństwo — posłannictwo — to ciągnie romantyczne umysły... U mnie siostra taka była... Kubek w kubek, ona w Kijowie zamieszła

się... et!... co tam o tem mówić — ale ja współczuję, rozumiem... Ja zgubili rozwiewatiele, co to niby do czynu zachęcają, a w chwili stanowczej usuwają się i ot — nieszczęście gotowe. Tu — u pani musiał działać niejeden taki rozwiewatiel...

(Poruszenie Anny).

O! panią to oburza, że ja o tych apostołach tak mówię — ale co zrobić pani droga — to jest tak. Ja ich wszystkich znam na wylot, tych pięknych mówców, którzy was uwlekają pięknymi słowami. Oni podczas badań są zupełnie inni — i gdyby pani mogła te akta tu zamknięte przeczytać, to nie patrzyłaby pani na mnie takimi oczami, jak w tej chwili... *(po pauzie zmieniając ton, od niechcenia przeglądając broszurki).* A ci, którzy panią do tego działania namówili i poprowadzili, także nie wiele są warci. Zresztą od nich właśnie dowiedziałem się, jakimi drogami pani do tych broszurek doszła... I wyznam pani, że źle umieściłaś swoje zaufanie.

(Anna milczy).

Choć wiem wszystko dokładnie — pragnę jednak dla pani dobra... ażeby mi pani sama wszystko opowiedziała. Być może, iż tamci, pragnąc zrzucić ze siebie winę, nadto panią obarczyli. Ja mam dla pani cześć i szacunek, bo pani wydajesz mi się wyjątkową istotą.

Dlaczego pani ma odpowiadać za winy tych, którzy broniąc swej skóry, panią denuncyowali. Niech pani przestanie milczeć — niech pani przedemną powie wszystko, jak przed... ojcem. Ja panią może z tego labiryntu wypłaczę. Mnie pani żał... No, no... kto pani te książeczki przez granicę przewoził? to główne — skoro pani mi to powie — to winą pani się zmniejszy...

(Anna milczy).

Nie chce pani na to odpowiedzieć? — No, to nie — ale teraz może mi pani powie, dlaczego narzeczony pani mieszał się w to wszystko? Po co? na co? On mi mówił! (*poruszenie*) — co? pani nie wierzy, iż on w tej kwestyi ze mną rozmawiał? Ależ pani — on sam mi wszystko powiedział, jak i co — w jaki sposób odbywała się kolporterya. Tylko niech go pani za to nie wini. On dobry chłopak, ale on ma słaby charakter — on nic ukryć nie może. Przytem niestały... dziś pani, jutro tamta...

(Anna podnosi głowę).

Co pani chce? to przecież jeszcze bardzo młode — przytem chodził to tu, to tam... Ładna dziewczyna — nie umiał się oprzeć pokusie... Tylko mnie to dziwi, że mając taką narzeczoną, mógł równocześnie zawrzeć znajomość z jakąś dziewczyną z restauracyi...

ANNA. Milcz pan... nie kłam dłużej!

KORNIŁOF. Nie, panno Anno — ja nie kłamię.

Ja z czystego serca mówię całą prawdę...

O, patrz pani — tu podczas rewizyi w jego papierach znaleźliśmy fotografię tej Józi... ona

się nazywa Józia, służy w restauracyi na Mar-

szałkowskiej ulicy. Widzi pani — o tu — na-

pisała ta panna: „Drogiemu Kaziutkowi na

imieniny od jego Józi“. (*Podsuwa pod oczy Anny*

fotografię z napisem — Anna w milczeniu patrzy

na fotografię i napis). Tu data — niedawna... o!...

Widzi pani, co to jest taki rozwiewatel... Pani

za jego namową wolność traci, a on sobie

z drugiem... No! no! Więc państwo tak razem

te broszurki rozsyłali... i jakże... przecież nie

przez pocztę?...

(*Po twarzy Anny spływają dwie łzy — ona stoi*

dalej, milcząc, z rękoma zwieszonemi wzdłuż ciała).

Pani sama widzi, że pani nie ma kogo bronić

i ochraniać. To straszna obelga — dla pani,

że on wolał nad panią taką dziewczynę z re-

stauracyi, on ją bardzo kochał... ja ich tam

widziałem...

(*Anna pada na krzesło, kryjąc głowę w rękach.*

Korniłof nachyla się nad nią).

I ona go kochała... całe wieczory spędzali ra-

zem — potem on ją odprowadzał... A gdy

wrócił, to przychodził do pani i udawał apo-

stoła... posyłał panią nad granicę po te bro-

szurki — prawda? A może sam przewoził? ha?

Bo tak — to pani sama na Sybir pojedzie — a gdyby pani powiedziała, jaka była jego wina... to pojechalibyście we dwoje razem... O! pani by go nie zostawiła tu z tą dziewczyną. — Bo on do niej wróci... ona na niego czeka...

ANNA (*wstaje powoli, ociera oczy i mówi wolno, prosto, bez przesady*). Spojrz pan! (*odchyła na piersiach palto*). Czy pan widzisz te plamy? Czy pan wiesz, po kim daliście mi ubranie? Po tej, która uciekając przed waszemi badaniami, kawałkiem szkła zdołała sobie gardło poderżnąć. To jej krew... ja ją tu mam przy sobie — na mojej piersi... to moja tarcza. Jak ta umarła nic nie powiedziała — tak i ja nic wam nie powiem. Tak mi Boże dopomóż!

(*Korniłow chwilę stoi i patrzy na Annę — poczem skłania się przed nią i woła zandarma*).

KORNIŁOF. Odprowadzić! (*po wyjściu Anny*). Wot! będzie uparta sztuka...

(*Anna wolno wychodzi*).

SCENA TRZECIA.

Korniłow sam — później Botkin i Strelkof. (Korniłow chowa broszurki, wyjmując z szafy butelkę z wódką, tackę z zakąskami, ustawia na stole, nalewa kieliszek jeden — łamie butkę, robi nieporządek — tak, jakby przedtem jadł przekąskę — poczem siada znużony na fotelu z przymkniętymi oczyma).

BOTKIN (*we drzwiach do Strelkofa*). Wejdźcie, Aleksy Harytonowiczu! Piotr Pawłowicz na was czeka.

STRELKOF (*pijany*). Idu, Iwan Nykałajewicz, no tylko na minutku. U mnie dziś świdanie s ma-jej luboszkoy, a ja dżentielmien i na świdanie pierwszej pawinien się jawić.

BOTKIN. Naturalnie. Ale ot i pułkownik.

KORNIŁOF (*nadzwyczaj serdecznie*). Zdrastwujcie, Aleksy Harytonowiczu! jakże wasze dzieła?

STRELKOF. Niczewos! — ale gdzie eto ja miałem cześć poznać się z wami?

KORNIŁOF. Jakto? nie pamiętacie? a w angielskiej gostinnicy — późną nocą po prazdniku waszego pułku.

STRELKOF. Nie pomnim. Na prazdniku ja niemnoshka napił się.

KORNIŁOF (*śmiejąc się głośno i zabawnie*). Nu, my wszyscy sobie troszkę wtedy podpili.

(*Na znak Kornilofa i Botkin wybucha śmiechem, z nimi Strelkof*).

KORNIŁOF (*dobrodusznie*). A ot — ja tu sam tak siedzę i nuda mnie napadła — więc ja sobie przekąskę kazał narządzić. Sławna tu w cytadeli przekąska... U Matałkowskiej takiej nie ma. Ot — Aleksy Harytonowiczu — stakańczyk -- do mnie.

STRELKOF. Jej Bohu... nie magu. Piłem już dużo. A to Iwan Nykałajewicz w cyrkie w bu-

fecie mnie tak ugaszczał, że prosto dusza
czelawiek. Nie magu...

KORNIŁOF. Jakże? ja będę pił sam? Ot i Iwan
Nikałajewicz gołubczyk z nami, a wy Aleksy
Harytonowiczu, duszeńko miła... Toż ty mój
ziemlak — my obaj z jarosławskiej gubernij...
Pij, ziemlak...

(Strelkof rozrzuwiony pije).

KORNIŁOF. Ot ładno! ot maładiec — a teraz wy
gałubczyk Iwan Nikałajewicz... a tu siga i ka-
wior nie solony — a ot moskiewska kieł-
basa — prost z Moskwy. Ja to sprowadził
i tu w cytadeli dla siebie w protokółach trzy-
mam. Jej Bohu!

STREŁKOF. Sławna ja zakuska...

KORNIŁOF. Jeszcze po jednemu!

STREŁKOF. Niet! niet! nie magu...

KORNIŁOF. Nu... jakże? my tu zwyczajni tak już
po ruskim obyczaju... Przed dziełem stakańczyk...
od czystego serca! *(wylewa swój kieliszek na
podłogę).*

STREŁKOF. *(pije)* Chyba, że od czistawa serca..

KORNIŁOF. Szkoda, że tu panny Józi nie ma...
ot szykowna panna...

STREŁKOF *(pijany)*. Sławna ja dziewczuszka... Ja
w niej wluł — strach!

KORNIŁOF. Nie — u — że — li? A ot ona po-
dobno lubi tego polaka... Wielhorskiego...

STREŁKOF *(b. pijany)*. Kawo? Polaka? naplewat

mnie na niewo! on użę prapał... ja jewo urządził i to na wsiu żiżń... on... (*opamiętując się*). Czort z nim! czort z nim! (*krzyczy*). Czort z nim!

KORNIŁOF. Tak, tak... my jego zamknęli. No ale on może niewinny, jego można uwolnić...

STREŁKOF. Da kakże uwolnić? to nie można... to nie wolno. — On plany zdejmował... eto strogoje prestuplenie... plany... o!...

KORNIŁOF. On musiał chyba jeździć do Nowo-georgiewska.

STREŁKOF. Nu znaczyt pojechał... cóż? kolej nie drogo... Tam i nazad cztery rubla... jej Bogu...

KORNIŁOF. Nie, Aleksy Harytonowiczu. Ty się mylisz. Bilet kosztuje pięć rubli z kopiejkami...

STREŁKOF. Da co mnie gawaritie? czetyre rubla — tam i nazad. Mało ja raz jeździł — ha? (*Rzuca trochę przytomniejszy wzrok dokoła*).

KORNIŁOF. A... u was znajomi mieszkają w fortec?

STREŁKOF (*krótko*). Da. (*Wstaje*). Wy mnie pawali po diełu naszej kłótni z temi tam u Małałkowskiej... Nu, co chcecie wiedzieć? Mnie pora do domu — ja mam świdanje z mojej kochankoj...

KORNIŁOF. Ona zaczeka.

STREŁKOF. Da nie nużno, żeby czekała. Chatia ona tolko służanka, no wsio taki dama... Dama nie możet czekać... (*pada na krzesło*). Ja w niej

wlublono... ja dla niej toby drugowo ubit i pagubit gatow... ot co...

KORNIŁOF (*do Botkina, cicho*). Ludzie nasi pojechali do jego mieszkania?

BOTKIN (*cicho*). Już dawno.

KORNIŁOF. Telefonuj pan — po generała. Niech przywiezie ze sobą komendanta pułku...

BOTKIN. Panie... pułkowniku! Piotrze Pawłowiczu...

KORNIŁOF. Co ci to? boisz się...

BOTKIN. Gdzie dowody??

KORNIŁOF. Rób co ci każe! I wracaj tu natychmiast...

(*Botkin wychodzi*).

KORNIŁOF. Ej gałubczyk... jeszcze kieliszeczek! Za zdrowie Józii... No — pamiętaj — Boh trojcu lubit!

STREŁKOF. No walaj! jeszcze adin stakan! (*pija*).

BOTKIN (*wraca — cicho do Korniłofa*). Wielhorski czeka — a w tamtej komnacie jest jego matka.

KORNIŁOF (*do Strelkofa*). Wiecie co druzia — ot... nam tu niewygodnie, nieujutno. My weźmiemy ze sobą butelki i do małej komnatki. Tam cicho i dobrze. Jeszcze butelkę węgierskiego dobierzemy, no i o dziełach pogawędzimy. Chodźcie!...

(*Botkin pół żartem, pół seryo wyprowadza na lewo Strelkofa. Na progu Kornilof ich przepuszcza.*

*Wnosi za nimi tacę — wychodzi i woła „Pst“ —
zjawia się Botkin).*

KORNIŁOF. Odbierz mu pan żartując broń —
wynajdź sposób... i zabaw go tam. — Nie wpu-
szczaj tu...

*(Botkin znika. — Korniłof zamyka za nimi drzwi,
idzie do głównych drzwi, mówi do żandarmów: „Pa-
zwat Wielhorskawo“, wyjmując z szafy paczkę z bro-
szurami — kładzie na stole).*

BOTKIN *(ukazuje się i podaje Korniłofowi szablę).*
Oto szaszka.

KORNIŁOF. Dobrze! — w danej chwili zawołam
was obu.

(Botkin odchodzi).

SCENA CZWARTA.

*Korniłof — Wielhorski. (Żandarmi wprowadzają
Wielhorskiego, który ma na sobie nocną koszulę —
na niej palto wierzchnie. Żandarmi odступują do
drzwi. Korniłof daje im znak, aby wyszli — oni
wychodzą. Korniłof długą chwilę chodzi tam i na-
powrót — wreszcie staje przed Wielhorskim).*

KORNIŁOF. Ja nie spodziewałem się tu pana wi-
dzieć, panie Wielhorski... Ja bardzo jestem
zmartwiony, że się tak na panu zawiodłem.
Przez te trzy dni nie mogłem nawet zdecydo-
wać się, ażeby pana do siebie pozwać i z pa-
nem pomówić. To bardzo, bardzo źle z pana
strony... Mnie to bardzo boli.

KAZIMIERZ. Panie pułkowniku, mnie jeszcze więcej nad więzienie boli ta myśl, iż pan przypuszczać możesz, że ja złamałem dane ci słowo. Ja sam nie wiem, co to wszystko ma znaczyć. Padłem ofiarą czyjejś intrygi, zemsty — nie wiem wreszcie... ale tak jest. Chciej mi pan wierzyć. Ja po wyjściu z cytadeli do niczego się nie mieszałem...

KORNIŁOF. Istotnie? do niczego?... I może mi pan na to dasz słowo honoru?

KAZIMIERZ (*żywo*). Daję na to słowo!

KORNIŁOF (*ironicznie*). Pana, widzę, nie wiele kosztuje dawać na prawo i na lewo słowa honoru.

KAZIMIERZ (*gwałtownie*). Panie Kornilof.

KORNIŁOF (*gwałtownie*). Co? czego? stać i milczeć! Odkąd pan swoim postępowaniem skompromitowałeś i mnie, straciłeś prawo do mojej względności. Pan rozumiesz? pan mnie naraziłeś! Ja za pana ręczyłem, ja!!! ja w zakład stawiałem siebie, swoją rangę, dwadzieścia lat mej służby. Ja ręczyłem, że pan będziesz porządnym człowiekiem.

KAZIMIERZ. Jestem nim.

KORNIŁOF. Ten, co się buntuje przeciw władzy, nie jest porządnym człowiekiem.

KAZIMIERZ. Ja powtarzam panu, że jestem ofiarą jakiejś mistyfikacji.

KORNIŁOF. Ja nie mówię w tej chwili o sprawie

owych planów... my cokolwiek później do niej powrócimy — ale dlaczego pan wpłatałeś się znów w ludową propagandę? ha?

KAZIMIERZ. Ja?

KORNIŁOF. Nie zaprzeczaj pan! Na nic się nie zda. Narzeczona pana przed chwilą wyznała wszystko.

KAZIMIERZ. Anna?

KORNIŁOF. Tak! Znam teraz całą sprawę z najdrobniejszymi szczegółami. Wiem, jaki był pana udział w tem wszystkim. Wiem, w jaki sposób dostawaliście broszury z zagranicy i jaki system przyjęliście dla kolporteryi! Pozwól pan jednak sobie powiedzieć, że to był właśnie najgorszy system! Mogliście zatrzymać dawny, był stanowczo lepszy... Prawda? co?

KAZIMIERZ. Słucham ze zdumieniem słów pana. O jakich broszurach tu mowa? o jakim systemie?

KORNIŁOF. Ach Boże mój! Po co to udawanie? Pan wiesz dobrze o czem mówię. Lepiej powiedz mi pan całą prawdę: Trzy lata temu nie chciałeś taksamo nic powiedzieć — no i my bez twego zeznania wszystko wiedzieli. I tak siedziałeś pan cały rok, a może, gdybyś pan zeznał, to byłoby pół roku, może dwa miesiące, może miesiąc... My duże lgoty dajemy tym, którzy się przyznają. A jeśli się pan będziesz upierał, to znów pan posiedzisz... w tym sa-

mym pokoiku... a jakże... będziesz spał na tej samej pryczy... i będziesz znów sam! sam!...

KAZIMIERZ (*cicho*). Sam! sam!

KORNIŁOF. I to nie rok, a może dwa, może trzy — może... Bóg wie, jak tam zasądzą... (*po chwili*) Sam jeden! odcięty od świata, od ludzi, bez książek, bez pracy... ot dzień za dniem i tak lata całe!... ha! to będzie ciężko...

KAZIMIERZ (*z nagłym wybuchem*). Nie! nie! ja nie chcę tam wracać!... nie zamykajcie mnie, ja nie chcę być znów sam, ja nie mogę znieść samotności! Powieście mnie — wyślijcie mnie... do katorgi, do min, wszędzie... tylko mnie nie każcie wracać tam — tam ja nie mogę!... ja nie mogę! ja nie mogę!... (*pada na krzesło przy stole*).

(*Korniłof idzie ku drzwiom — otwiera je — w sieni ukazuje się pomiędzy dwoma żandarmami Wielhorska, oparta o ścianę. Korniłof daje jej znak, ona wchodzi*).

KORNIŁOF (*wskazując na syna*). Pani zna swój obowiązek!... (*usuwa się w głąb*).

SCENA PIĄTA.

Wielhorska — Korniłof, Kazimierz. (*Kazimierz spostrzega matkę i rzuca się ku niej — ona wstrzymuje go jednym ruchem ręki*).

WIELHORSKA. Powiedz mi... Kaziu... powiedz ale na popioły ojca szczerą prawdę... czy ty byłeś szpiegiem?

KAZIMIERZ. Nie! nigdy!... przysięgam ci mamó!
(*Wielhorska wyciąga ręce z głośnym płaczem — Kazimierz rzuca się do jej kolan*).

KAZIMIERZ. Mamó! mamó!

WIELHORSKA. Ja wiedziałam, że to nieprawda!
ja wiedziałam i wiesz? oni powiedzieli, że to
za pieniądze...

KAZIMIERZ. Mamó! mamó! Tyś temu nie wierzyła?

WIELHORSKA. Nie, nie... ty mój biedaku! tyś
wychudł... tobie zimno... ty mi znów zachorujesz,
jak dwa lata temu. O Boże! czy Ty nie bę-
dziesz już mieć nad nami zmiłowania! A Macia!
gdzie ona? Panie pułkowniku, ja tu mam także
i córkę... ja chciałabym ją widzieć... ja...

KORNIŁOF. To niepodobna — ja według rozkazu
pana generała mogłem pozwolić na widzenie
się z synem. Tylko pani przekracza najzu-
pełniej rozporządzenie, jakie pani wydane zo-
stało. Pani wie, o co ja panią prosiłem...
przez drogę. Miała pani skłonić swego syna
do wyznania całej prawdy w sprawie patryo-
tycznej propagandy, w jaką się wbrew danemu
mi słowu wmieszał... Niech pani pamięta, że
my wiemy już o wszystkim, ale systemem
u nas przyjętym musimy usłyszeć prawdę z ust
syna pani. Inaczej trzymać go będziemy tak
długo, aż prawdy całej nie powie. (*po chwili*)
A syn pani jest bardzo nerwowy i chorowity —
odosobnienie fatalnie na niego działa. Takie

natury nie przenoszą czasem dłuższego więzienia. Ja mówię otwarcie od czystego serca i jak ojciec... U mnie był brat... ot, on się zaplątał w Kijowie między nihilistów, no i w więzieniu zwaryował...

WIELHORSKA. Oh! panie pułkowniku!

KORNIŁOF. No... tak jest — ja prawdę całą mówię — ja szczerzy człowiek — wolę ostrzedz. Pani widziała co dwa lata temu z synem pani się działo, kiedy sam siedział... Był bliski obłądu...

KAZIMIERZ (*gwaltownie*). Mamo! mamó! nieprawda! nie wierz! to kłamstwo — mnie się nic nie stanie — ja wszystko przeniosę... ja posiedzę, jeśli mnie już niesprawiedliwie zasądzą... ale mnie nic nie będzie... ja jestem silny... zdrow... zdrow zupełnie... mój mózg wytrzyma... mamó nie płacz!

WIELHORSKA (*płacze i ścisła konwulsyjnie syna*).
Kaziu! Kaziu! Kaziu!

KORNIŁOF. Niech pani nie płacze — a do syna tak przemówić, żeby on siebie z nieszczęścia wyratował.

KAZIMIERZ. Nie mów mamó nic! bo to się na nic nie zda. Nie wierz temu, co oni mówią. Czy ja powiem cokolwiek — czy nie, to wszystko jedno, bo oni mnie taksamo zasądzą... To zasadzka!... (*z wybuchem*). Dlaczego mi pan matkę torturujesz? dlaczego?

KORNIŁOF. Pan oszalał już teraz? ja z dobrego serca grzecznie i przyzwocie się do matki pana odnoszę...

KAZIMIERZ. Och! wasza grzeczność! Ależ spójrz pan na nią... Pan straszysz ją widmem mojego obłędu — pan grasz na jej sercu! Nie mów nic mamó! Ja ci przysięgam, że się w nic nie mieszałem przez miłość dla ciebie i dla Maci — choć Bóg jeden wie ile mnie to kosztowało. Jedź do domu — bądź spokojna... nam się tu żadna nie dzieje krzywda, my niedługo będziemy wolni... my przyjedziemy do Włocławka... Mamó! mamó!

WIELHORSKA. Ja... przyniosłam ci... panią pułkowniku... ja przyniosłam dla moich dzieci trochę pieniędzy... *(wyjmuje drżącymi rękami zniszczoną portmonetkę)*. Co mogę... to pięć rubli dla ciebie, trzy ruble dla Maci... pan pułkownik pozwoli...

KORNIŁOF. Pani odda na moje ręce.

KAZIMIERZ. Nie trzeba. Mamó — tu nam nic nie brakuje — a ty sama przecież.

WIELHORSKA. Nie! nie! weź — nie możecie być bez pieniędzy... Może dasz na wódkę żołnierzom, to oni będą lepsi dla ciebie. Ja jeszcze przewiozę więcej. Tylko teraz nie mogłam.

KAZIMIERZ. Nie mateczko... nie trzeba. Idź stąd... ty drżysz cała... nie płacz!... Bądź zdrowa!

WIELHORSKA (*tuląc go do siebie*). Ty mój biedaku znów! znów!... cię tu zostawiam.

KAZIMIERZ (*ociera jej oczy*). Nie płacz mamó — nie trzeba, aby widzieli łzy twoje..

WIELHORSKA. Tak — tak — (*całuje go*). Bądź zdrow! (*robi nad jego czołem krzyż*). Niech cię Bóg strzeże. (*odchodzi tłumiąc łzy i nagle wraca*). Oni cię nie biją?

KAZIMIERZ. Nie mamó! nie.

WIELHORSKA (*z oczyma błagalnie w niego utkwionemi*). Nie biją?

KAZIMIERZ. Przysięgam ci, że nie.

WIELHORSKA. (*na progu do Korniołofa*). Nie dręczcie go!... on już i tak sił nie ma! (*wychodzi powoli*).

SCENA SZÓSTA.

Korniołof — Wielhorski.

KORNIŁOF. Pan się zuchwali, panie Wielhorski! Pan nie pozwolił matce do siebie przemówić... Mnie się to nie podoba, panie Wielhorski! Pan mnie wobec matki zarzucił złe serce... No! no! A pan wie, co ja dla pana zaryzykowałem? Pan nic nie wie — i pan nigdy wiedzieć nie będzie... Ja przez pana mogę reputację dobrego urzędnika stracić — bo powiedzą, że ja się na panu pomyliłem i to mi dalej zaszkodzi... Hm! hm! da!

KAZIMIERZ. Ja nie mogłem pozwolić...

KORNIŁOF (*przerywa*). Najlepiej niech pan nie mówi — bo ja pana gotów... znienawidzić... Niech pan wraca do celi i tam pomyśli nad sobą. Ja pana znów jutro przesłucham... Panna Anna wszystko już powiedziała, więc jej nie będę już badał... Cóż? Dziwić się nie można, młoda kobieta — nie mogła utrzymać tajemnicy. Nie trzeba jej tego brać za złe.

KAZIMIERZ. Anna nic powiedzieć nie mogła. Raz dlatego, że nic nie popełniła — powtóre, że znam jej charakter. Ani moralną ani fizyczną torturą nie wymoglibyście na niej nic...

KORNIŁOF. Da... da... mądra i piękna panna... no ta Józia od Matałkowskiej miłsza... ha? co?

KAZIMIERZ. Oh!...

KORNIŁOF (*z udaną dobroduszością*). No co?... tak było... trudno... Dobranoc panu...

SCENA SIÓDMA.

Korniłof — Żandarmi. (Wnoszą w serwecie dywanowej dużo listów — papierów — kopert — drugi żandarm trochę książek — dwa pudełka).

1. ŻANDARM. Eto wsio, czto my naszli.

KORNIŁOF. Haraszos — łóžitie zdzieś — uchoditie procz!

(Żandarmi kładą pakunek na stole i wychodzą).

KORNIŁOF (*sam, wyjmując rewolwer i kładzie na stole przed sobą*) Ot i śmiertelna gra — życie moje na stawkę kładę!...

(*Słychać za sceną śmiech i śpiew pijanego Stretkowa i Botkina na dwa głosy: Łunnya noczy*).

KORNIŁOF (*szuka gorączkowo w papierach*). Nic!... nic!... listy... listy!... raporta!... przykazy!... o!... (*po chwili*). Ciemno mi przed oczami... to lampa chyba gaśnie... (*podkręca lampę, szuka dalej — zaciskając zęby*). Zamilczcie... zamilczcie sukinsyny... ja życie moje tracę — (*z konwulsyjnem nateżeniem szuka — nagle znajduje pomięty i podarty papier. Zbliża się z nim do lampy — ociera pot z czoła i przeczytawszy obraca się ku ikonie w kącie, żegna się i trzy razy bije pokłon*). Sława Tobie, Hospody... (*wraca na przód sceny, bierze rewolwer, chowa go do kieszeni i tryumfalnie obraca się ku drzwiom*). No panie generale — teraz my się zmierzymy!

SCENA ÓSMA.

Korniłof — Horn — Komendant pułku art. konnej.
(*Obaj w płaszczach letnich*).

KOMENDANT (*mały — siwy zupełnie starzec*). Pamilujcie — eto nie wazmožno... wszystko mnie opowiedział wot Aleksander Walentinowicz. To wy Piotrze Pawłowicz taki cień, taką hańbę na mój pułk rzucacie... To dierzost! to zuchwalstwo — to... wam nie ujdzie płazem... ja...

KORNIŁOF. Patisze — ja pokornie przedłożę to,
co w papierach Strełkofa znalazłem.

KOMENDANT. Co!

HORN (*gwaltownie*). Wy znaleźli jaki dowód.

KORNIŁOF. Oto brulion ostatniej przesyłki — ot
tu na marginesach pół listu anonimowego, który
my przedwczoraj pod adresem kancelaryi do-
stali!

HORN. Pokażcie!

*(Obaj z komendantem czytają dokument — Horn stoi
z rękami opuszczonemi. Komendant zakrywa oczy
i pada na krzesło).*

KOMENDANT. Jaki wstyd! mój pułk sławny
był — czysty! nigdy podłoty!

HORN. To wielka hańba!

(Milczenie — słysząc śpiew cichy i śmiech).

HORN (*nagle*). Gdzie Strełkof?

KORNIŁOF. Tam — z porucznikiem Botkinem.

HORN. On stąd wyjść już nie powinien.

KOMENDANT. Ale jak? jak?

HORN. Czy on ma broń przy sobie?

KORNIŁOF. Nie — kazałem mu odebrać.

HORN. Daj mi Piotrze Pawłowiczu rewolwer,
który ci dałem przed godziną. Posłuży... ale
nie dla ciebie!

*(Korniłow z głębokim ukłonem oddaje Hornowi re-
wolwer).*

HORN (*do komendanta*). Wy Mikołaju Antonowiczu czyńcie swą powinność. Podajcie mu ten rewolwer... niech się tu cicho — bez skandalu — sam zastrzeli...

KOMENDANT (*bierze rewolwer, ociera oczy pełne łez*). Siedmdziesiąt lat przeżyłem — a to chyba najcięższa mego życia godzina.

HORN. Wyprowadź go tu Piotrze Pawłowiczu — tylko niech przed zobaczeniem nas niczego się nie domyśli.

KORNIŁOF. Słucham panie generale!

SCENA DZIEWIĄTA.

Ciż sami — Strełkof i Botkin.

KORNIŁOF (*idzie, otwiera drzwi — i udając wesołość, mówi na progu*). Chodźcie tu gałubczyki — wot wszyscy poszli — będziemy tu kutit! A ładnie śpiewacie (*śpiewa razem z nimi i wyprowadza ich śpiewających do pokoju*).

KOMENDANT (*mówi wolno i stanowczo*). Aleksiej Harytonowicz! My wszystko uznali — my mamy dowody twojej podłoty... ty pułk zbezczęścił — ty mundur splamił!

STREŁKOF (*blednieje z przerażenia*). Czto? czto?

KOMENDANT. Ot twoje własne pismo!... Ty możesz jeszcze pułk od sromoty ocalić, aby nad nad tobą sądu nie było... Na to trzeba... żebyś ty sam się zabił... wot tobie rewolwer... my

wyjdziemy do drugiej komnaty... ty zostaniesz się jeden... postaraj się, abyś miał odwagę... (daje *Strełkowowi* rewolwer i ocierając oczy, stoi przez chwilę nieruchomy — potem zwraca się ku oknu). Tam ikona — pomódl się — niech Bóg ci duszę twoją rozgrzeszy — bo ludzie nie mogą.

(*Wychodzi — za nim powoli Horn, Kornilof i Botkin*).

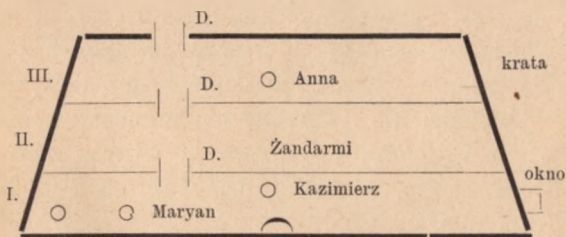
STREŁKOF (*sam — ogląda rewolwer — patrzy do koła błędnymi oczami — potem siada na krześle i powtarza kilkakrotnie*). Wot!... wot!... dażda!... (*nuci*) No śmierć bliska, bliska maja ma-giła. Kakda umru... (*dwa razy przykłada rewolwer do skroni i opuszcza rękę — trzeci raz zamyka oczy i strzela, mówiąc*). E! naplewat'! (*pada z krzesła na ziemię*).

(*Kurtyna spada*).

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

Scena przedstawia salę przeznaczoną do odwiedzin w cytadeli, podzieloną na trzy klatki. Każda klatka o stopeń podwyższona. Scena winna być mała i zwężona, oświetlona w ostatnim oddziale lampą, tak aby jej światło padało na Annę — naftowy kaganek w oddziale drugim — w oddziale trzecim świeca na małym stolczku.



SCENA PIERWSZA.

Siemipudof wprowadza Kazimierza i Maryana do oddziału 1-go. Kazimierz i Maryan w paltach i czapkach.

1. ŻANDARM. Proszę tu podażdat! pan pułkownik nadejdzie!

KAZIMIERZ. Zostawcie nas!

(Żandarm odchodzi. — Chwila milczenia. Kazimierz zgnębiony stoi oparty czołem o kratę. Maryan muic w rękach czapkę).

MARYAN *(przyciszonym głosem)*. Czy jutro ją wywożą?

KAZIMIERZ. Jutro! *(nagle z krzykiem)*. Psy! psy! psy!

MARYAN. Milcz! ciszej, na Boga — ciszej!

KAZIMIERZ. A... dławię się! Ale pomyśl — ona — ta moja, ta słodka, ta dobra... ona pójdzie tam — o! o! o!

MARYAN. Powróci!

KAZIMIERZ. Chyba duchem, nie sobą. Ona wygnania nie zniesie. A gdyby nawet... gdyby przeszła przez to piekło, to skoro wróci, jakie będą jej myśli? jej wiara? jej chęci? Czyż wygnanie zamiast wypłenić z jej duszy chęć działania, nie rozwinie, nie wzmocni w szalonym uporze? Ja ją znam, ja wiem... a wtedy, och bracie — strach pomyśleć, czem ja będę dla niej.

MARYAN. Anna jest wyrozumiała, rozsądna, wie, że ty masz wolę obciążoną i spętaną. Masz przecie matkę biedną — siostrę... Ja także jestem rozsądnym, muszę być rozsądnym, bo mój ojciec mnie o to prosił. Ojciec mój poddał się, jak mówi, smutnej konieczności — więc i odemnie tego żąda *(po chwili)*. Zapomina

przecież, że sam w 63 nie chciał słuchać głosu rozsądku... Oni tak wszyscy! tak wszyscy!...
(*Kazimierz chodzi wzdłuż krat*).

KAZIMIERZ (*gorączkowo*). To wszystko jedno... to wszystko jedno... Matka... siostra... to nie powinno iść w rachubę — ja jestem wolny, ona po za kratami! mało tego, ona jedzie na Sybir... na Sybir... na Sybir... a ja tu pozostaję; będę żył tu — uczył się, zdawał egzamina, szukał karyery, będzie mi względnie wygodnie, dobrze, ciepło, przyjemnie...

MARYAN. Kaziu, ty jesteś chory, ty masz gorączkę...

KAZIMIERZ. Mam, mam gorączkę od chwili, kiedy mnie wypuszczono, kiedy mnie obdarzono... wolnością. Ja jestem chory z tej swobody — mnie trzeba krat... słyszysz krat... (*chwytą w ręce kraty i wstrząsa niemi*) ja do nich przywykłem — to moi druhowie... my się rozumiemy... (*przykłada czoło do krat*). O! o! jak chłodzą, jak dłonie kochanki... dobre kraty, moje! moje!

SCENA DRUGA.

Ciż sami — Kornilof.

KORNIŁOF (*wchodzi cicho, wesóło, grzecznie w szynelu letnim i czapce*). Dzień dobry panom!

(*Studenci się kłaniają*).

Pannę Lasocką natychmiast przywiodą. Jedna rada i prośba. Najlepiej nie rozdrażniać skazanej próżnemi słowami. Panna Lasocka jest bardzo silna i odważna, ale to zawsze kobieta... więc po co przed taką długą drogą odbierać jej tę siłę i odwagę.

KAZIMIERZ (*jak echo*). O tak! to bardzo długa droga...

KORNIŁOF. Bardzo! bardzo! Jakkolwiek nie jedzie sama, ale z całym transportem, lecz zawsze dla młodej osoby to uciążliwe...

KAZIMIERZ. Czy wolno zapytać, z kogo się składa ten transport?

KORNIŁOF. Uwięzieni, drogi panie... przestępcy rozmaitej kategorii...

KAZIMIERZ. Zbójcy, mordercy, podpalacze...

KORNIŁOF. Są, są... politycznych znów tak dużo na szczęście nie mamy...

KAZIMIERZ. I ona między nimi... ona między nimi... Słyszysz? słyszysz?

KORNIŁOF. Prawo różnicy w zbrodni nie zna...

KAZIMIERZ. Więc ona zbrodniarka?

KORNIŁOF. Pan Wielhorski powinien był zrozumieć, że bunt przeciw rządowi to zbrodnia — ja starałem się to już dawno panu wytłómaczyć i zdawało mi się, że pan to już pojął. Dwa razy pan był u nas w gościnie a wszystko jakoś nie pomaga. Zwłaszcza dziś pan do mnie mówi — tak, że to zaczyna mi się

niepodobać... Ja dużo sobie zadałem trudu, żeby pana stąd wyciągnąć i znów oswobodzić. Pan mi powinien być wdzięczny.

KAZIMIERZ. Rzeczywiście — pan pułkownik mnie bardzo pokochał i strasznie się mną opiekuje...

KORNIŁOF (*dumnie, wyniosłe, oziębłe*). Ja pana pokochał? a to skąd się panu wzięło? Ja znienawidził, bo ja przez pana straszną chwilę w życiu przeszedł. Ja przez pana romanse z dziewczkami o mało mojej rangi, moich zasług... ba... mego życia nie stracił. Pan to poniał, panie student? Mnie się pomylić nie wolno, a ja pana pierwszy raz pod mojem słowem wypuścił. To potem już, żeby do piekła iść, musiałem dowieść, żem się na panu nie zawiodł... Ale ja przez pana do reszty osiwiiał i teraz pan mi z każdego swego kroku zdasz rachunek, a jeśli ja pana (*z nienawiścią*) raz jeszcze tu dostanę — to na Kazańską Bożiu Matier klnę się, że już pan stąd nie wyjdiesz. Ja przez pana cześć i уваżanie stracę, ale pan mi za to zapłacisz... (*po chwili*). A teraz radzę panu, niech pan jutro najlepiej do matki pojedzie. Tam — gdy pan zobaczy, że tej biednej starej na wszystkim zbywa, a ona na pana czeka, to się pan zmieni, — zupełnie zmieni. Ja idę po pannę Lasocką.
(*wchodzi przez furtkę do drugiego oddziału, stamtąd do trzeciego i drzwiami znika*).

KAZIMIERZ. Słyszałeś go? słyszałeś? on tak już od trzech lat gra na strunach mojej duszy — lata całe! Ciągłe ma słowo „matka“ na ustach... Oni tak z nami wszystkimi teraz grają... Matka... rodzice... miłość dla rodziny... obowiązek... nędza... To obecnie ich narzędzia... tortury... co odpowiadać? co?

MARYAN. Chrystus powiedział: „Co jest wspólnego między mną i tą kobietą...“

KAZIMIERZ. A — tak!... Ale mojej matce nikt darmo jeść nie da, nie kupi na zimę trzewików, nie da jej węgla, aby się ogrzać mogła. To wszystko muszę ja dla niej zdobyć — ja.

MARYAN. Dlatego też staraj się opanować swój ból. Pożegnaj się z Anną i poświęć się cały dla rodziny. — To banalne, co ja ci mówię w tej chwili, to głupie — ale to ma swoją podstawę życiową.

KAZIMIERZ. Ja wiem! ja wiem... ale to tak trudno... (*Opiera się o stół*).

SCENA TRZECIA.

Ciż sami — Botkin — Kornitof — Anna i 2 żandarmi (przechodzą przez drzwi pierwszego oddziału, wchodzi furtką w drugi oddział i tam usuwają się na lewo). — (Drzwiami w 3 oddziale wchodzi szybko Kornitof i wchodzi furtką w 2 oddział, po chwili, gdy już wszyscy są na miejscach, otwierają się drzwi

w 3 oddziale i pomiędzy dwoma żandarmami ukazuje się Anna Lasocka. Jest odziana biednie, ma na sobie długi szal z białej wełny, który ją osłania. Włosy w warkocze wolno splecione. Powoli dochodzi do kraty i staje, oparłszy o nią czoło. Patrzy, nie mówiąc nic na Kazimierza).

KAZIMIERZ (*milczy również — tylko drży na całym ciele*).

KORNIŁOF. Państwo mogą rozmawiać ze sobą. To dozwolone.

(*Milczenie*).

Dlaczego państwo nie mówią? Wszak to ostatnie widzenie... jutro już pani rankiem wyjedzie... ja więcej widzieć się nie pozwolę...

(*Milczenie*).

(*Korniłof rozmawia po cichu z Botkinem. Botkin podchodzi do kraty*).

BOTKIN. Mamzel Lasocka — pazwoltie — gaspardin pałkownik izwolił wam skazać, czto on rozrieszajet wam idti w pierwoje otdielenje Pazwoltie — ja was prawiedu... (*otwiera drzwiczki i przeprowadza Annę do pierwszego oddziału na przód sceny. Ona chwilę się waha, potem idzie za Botkinem*).

KORNIŁOF. Pozwalam, żeby się państwo tak widzieli — ale to czynię ze względu na panią... Pozwalam tylko pięć minut rozmowy, ja mam zegarek w ręku...

(*Anna stoi nieporuszona z rękami spuszczonemi wzdłuż sukni*).

KAZIMIERZ (*zbliżając się ku niej*). Anno! to nie moja wina, że ja jestem wolny.

ANNA (*b. prosto*). Wiem o tem...

KAZIMIERZ. Anno!... dlaczego sprowadziłaś na siebie to wielkie nieszczęście!

ANNA. Nieszczęście? Gdybym ci powiedziała, że jestem w tej chwili szczęśliwą, nie zrozumiałbyś mnie może.

KAZIMIERZ. Ależ ty jedziesz... tam... na wygnanie... na całe pięć lat!

ANNA. A czyż i tam ludzie nie żyją? — Tam wreszcie czeka mnie... zapomnienie, tu miałabym tylko pustkę i nicość. Nie mam już nic z dawnej wiary w sercu...

KAZIMIERZ. Tutaj miałabyś obok siebie mnie — nas wszystkich. Tam — nie będziesz mieć nikogo!

ANNA. Będiesz ze mną wiecznie ty — dawny, ten któregom widziała za temi kratami, tak jak ty mnie ujrzałeś! My z tamtym pójdziemy we dwoje — na całe życie skuci jedną czarowną myślą — może... szaloną, ale taką piękną, taką wielką, taką naszą...

KAZIMIERZ. Więc mnie już nie kochasz Anno?

ANNA. Kocham cię tamtym, który wierzył, walczył i cierpiał...

KAZIMIERZ. Ależ ja teraz także walczę i cierpię.

ANNA. Walczysz o swój byt, cierpisz — swoim cierpieniem, ale nie dla drugih.

KAZIMIERZ. Ty wiesz Anno — ja nie mogę... ja nie mogę!... ja mam ręce skute..

Anna (*prosto*). Dlatego drogi nasze się rozchodzą... Nie miej do mnie żalu za nieposłuszeństwo — najlepiej zapomnij o mnie!

KAZIMIERZ (*nagle chwytając ją za ręce*). Ty mną pogardzasz Anno! Ty mną pogardzasz!

ANNA. Nie mam prawa pogardzać nikim. Każdy działa według swego przeznaczenia. Uspokój się i staraj się iść już teraz równą drogą. Po co ci biedaku szarpać się nadaremnie.

KAZIMIERZ (*coraz więcej rozdrażniony*). Biedaku? biedaku? mówisz do mnie jak do psa, który się zabłąkał i do domu powrócił... a! tak! ja to widzę z oczu twoich... ty myślisz sobie... podlec! podlec! ja jadę na Sybir, a on wolny chodzi, ha! ha!

KORNIŁOF (*w 2 oddziale*). Panie Wielhorski, pan zanadto rozdrażniony, proszę spokojniej...

KAZIMIERZ. Co? czego? ciszej? a tak — racya — wszak to cmentarz... tu groby... o! (*uderza nogą w podłogę*). Tam gniją żywe trupy.

MARYAN. Kaziu — na Boga, opamiętaj się.

ANNA. Milcz! milcz! miej wzgląd na matkę swoją...

KAZIMIERZ. I ty! i ty! straszysz mnie matką... nie chcę tego słyszeć — nie chcę!

KORNIŁOF. Panno Lasocka — pięć minut mi-

nęło — zechce pani się pożegnać krótko i bez niepotrzebnych wzruszeń.

(Botkin wchodzi do oddziału pierwszego — za nim dwóch żandarmów).

KAZIMIERZ *(jak w obłądzie)*. POCO wy tutaj? po nią? już przyszli...

KORNIŁOF *(w 2 oddziale)*. Wyprowadzić Lasocką...

(Botkin zbliża się do Anny).

KAZIMIERZ *(j. w.)*. Precz!... nie dotykać się jej — nie dam, nie pozwolę... Anno!... ty nie pogardzaj mną... ja...

KORNIŁOF Ważmi jej siejczas.

MARYAN. Kaziu — ulituj się!

ANNA. Odstąpcie — ja idę sama! *(do Kazimierza)*.

O ty nieszczęsna, biedna duszo — żegnaj, żegnaj na długo *(opiera czoło o piersi Kazimierza)*.

KAZIMIERZ. Weź mnie ze sobą! Weź mnie ze sobą!

ANNA. Stań się — tamtym, a odnajdziesz do mnie drogę... *(całuje go i wychodzi — w oddziale pierwszym pozostaje Botkin — Anna przechodzi przez oddział drugi — wchodzi do trzeciego — Kazimierz wstrząsając kratami przypada na kolana)*.

KAZIMIERZ. Anno! ja pójdę z tobą!

(Anna zatrzymuje się chwilę, obłana światłem lampy, robi giest pożegnalny ręką i odchodzi w milczeniu. — Słychać łoskot zamykających się za nią drzwi).

KAZIMIERZ. O psy! psy!... wy mi ją wywozicie...
a ja zostaje! o jaki ja podły!

(Szaleje przy kratkach).

KORNIŁOF *(w 2 oddziale)*. Proszę być ciszej... co
to znowu?

KAZIMIERZ. A to ty? ty szatanie, coś mi duszę
spętał swoim słowem honoru i uczynił ze mnie
nikczemnika!

KORNIŁOF. Ja z pana zrobiłem porządnego czło-
wieka...

KAZIMIERZ. Porządnego człowieka? czy słyszy-
cie? wy wszyscy, wy trupy tam gnijące pod
memi nogami... wy wszyscy, coście się u tych
krat żegnali i o te kraty kaleczyli sobie ręce?
Porządny człowiek? To dla was to słowo... to
dla tych, co mają kraj, gdzie mogą być po-
rządnymi ludźmi... nie dla nas! nie dla nas!
Ha! ha! ha! uwolnili mnie... po to, żeby za
mną chodzić, tropić mnie, węszyć... uwolnili
mnie, a duszę mi ukradli i tu do jakiejś celi
zamknęli... psy! psy!

BOTKIN *(podchodzi do Kazimierza)*. Małczat'! do-
statoczno kamedji łamat! *(bierze go za ramię
i usiłuje przymusić do wstania)*.

KORNIŁOF *(w 2 oddziale)*. Ja pana każę za te
słowa zamknąć.

KAZIMIERZ *(jak szalony)*. Każ! każ! ale przed-
tem oddziel się odemnie jeszcze silniejszą
kratą... Ty milcz, nie mów mi nic o matce —

nie mów nic, bo ja ci z tego słowa pieczęć grobową zrobię...

KORNIŁOF *(do żandarmów)*. Wziat'!

KAZIMIERZ. Wziat'!... wziat'!... to mało... zęślat'! zęślat' a za czto? ot... *(uderza Botkina)*.

(Żandarmi rzucają się na niego, powalają go o ziemię. Korniof wybiega z drugiego oddziału do pierwszego).

KORNIŁOF. Swołocz!...

KAZIMIERZ *(z ziemi)*. Teraz ja „tamten“ — teraz ja znajdę do niej drogę!

(Kurtyna spada).

KO

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
174933





Biblioteka WSP Kielce



0121189